

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

kujawy i pomorze 2008

nr 2 (58)
DODATEK



HERBERT

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

Zespół:

ADAM BEDNAREK, JAN BŁOŃSKI, STEFAN CHWIN,
ALEKSANDER FIUT, MICHAŁ GŁOWIŃSKI,
MAREK KĘDZIERSKI, JULIAN KORNHAUSER,
LESZEK SZARUGA

Redakcja:

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI – redaktor naczelny
GRZEGORZ KALINOWSKI – sekretarz redakcji

Wydawca:

Wojewódzki Ośrodek Kultury w Bydgoszczy –
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego;
Program Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Herbert”

Adres redakcji:

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6
tel. (0-52) 585 15 01, wew. 105; (0-52) 585 15 00, tel./fax (0-52) 585 15 06
e-mail: kwartalnik@wok.bydgoszcz.com; cik@wok.bydgoszcz.com,
www.kwartalnik.art.pl
87-100 Toruń, ul. Podmurna 60
tel./fax (0-56) 622 20 65

Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser
Korekta: Marta Laskowska

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Nakład: 600 egz.

*Skład, łamanie, druk i oprawa: Zakład Poligraficzny FORM-DRUK,
85-654 Bydgoszcz, ul. Mierosławskiego 11-13, tel./fax (0 52) 341 32 38
e-mail: form-druk@vendor.pl*

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

kujawy i pomorze 2008

nr 2 (58)
DODATEK

Spis rzeczy

- ZBIGNIEW HERBERT Strefa liryczna / 3 Pan Cogito. Ars longa / 4
Pan Cogito a Małe Zwierzątko – / 6 Telefon / 7
Brewiarz / 9

Głosy i głosy w 10. rocznicę śmierci Zbigniewa Herberta

- STEFAN CHWIN Złote runo Zbigniewa Herberta / 11
MIROSLAW DZIENŃ „Nieprzeniknione życie kamyka” – Zbigniew Herbert dziś / 21
HENRYK GRYNBERG Tylko ocean / 22
JULIA HARTWIG Dwaj poeci / 26
MARIA KALOTA-SZYMAŃSKA Spotkania z Herbertem / 33
BOGUSŁAW KIERC Herbert / 35
WOJCIECH LIGĘZA Sukces, przesyty, znaki obecności / 40
KRZYSZTOF LISOWSKI Znak muratora / 45
JACEK ŁUKASIEWICZ *** / 48
PAWEŁ MACKIEWICZ Herbert – w czyścću czy przed czyścćem? / 49
PIOTR MATYWIECKI *** / 52
PIOTR MICHAŁOWSKI Pan Cogito i Pan Credo / 53
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Herbert – strefa mroku, strefa światła / 55
ANNA NASIŁOWSKA Herbert po latach / 57
KAZIMIERZ NOWOSIELSKI Herbert dzisiaj czytany / 61
MAREK SKWARNICKI Traktat o nieśmiertelności / 62
LESZEK SZARUGA Czytanie Herberta / 65
PIOTR SZEWC Czyste światło / 67
JANUSZ SZUBER Pułkownik Herbert. Listy / 69
ZBIGNIEW HERBERT w Rotterdamie. Fotografował Ryszard Krynicki / 71

- Listy ZBIGNIEWA HERBERTA do Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego / 79
 ANTONI LIBERA Trzy wiersze trzech mistrzów Herberta... / 87
 KONSTANTINOS KAWAFIS Itaka / 89
 THOMAS STEARNS ELIOT Podróż trzech Króli / 90
 WILLIAM BUTLER YEATS Drugie przyjście / 92
 ...i trzy wiersze Becketta / 93
 SAMUEL BECKETT ni tego, ni tego / 94 downs / 95
 no właśnie co / 96
 Z papierów po moim ojcu / 100
 KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Herbert w „Kwartalniku Artystycznym” / 101

Rozmowa

- „Nie napisane wiersze” Zbigniewa Herberta – z Aleksandrem Fiutem o ostatnim tomiku Herberta *Epilog burzy* rozmawiają Mateusz Antoniuk i Tomasz Cieślak-Sokołowski / 105
 JOANNA ZACH Norwid i Herbert: świadkowie kultur i cywilizacji / 123

TYLKO PRENUMERATA ZAPEWNIĄ STAŁE OTRZYMYWANIE
 „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

Warunki prenumeraty:

Prenumerata roczna:

- krajowa 35 zł – zagraniczna 30 USD

Cena za egzemplarz archiwalny (wraz z wysyłką)

- krajowa 9 zł – zagraniczna 8 USD

Prenumeratę prosimy wpłacać na konto:

Wojewódzki Ośrodek Kultury PKO SA II Oddział Bydgoszcz
 68124034931111000043057874 „Kwartalnik Artystyczny”



Fot. Kuba Atys

Zbigniew Herbert

Strefa liryczna*

Widok na park i mur w przedwieczornym świetle
jak u Corota – skóra cytryny skóra policzka z pudrem po balu
powietrze złotolite i nic tu nie słycać żadnych szeptów
stłumionych okrzyków uścisku rąk spoconych galopady
tylko dusza staje się boleśnie wątłą pajęczyną
i na powietrzu trwa jak uśmiech Giocondy
etruskich dziewcząt

uśmiech Sfinksa

* Pierwodruki tych wierszy ukazały się w autorskim układzie Zbigniewa Herberta w „Kwartalniku Artystycznym” 1998 nr 1(17)

Pan Cogito. Ars longa

Krzysztofowi Karaskowi

1

Napuszone manifesty
wojny domowe
walne bitwy
kampanie
napawały Pana Cogito
nudą

w każdym pokoleniu
pojawiają się ci którzy
z uporem godnym lepszej sprawy
pragną wyrwać poezję
ze szponów
codzienności

już za młodu
wstępują do zakonu
Przenajświętszej Subtelności
i Wniebowstąpienia

wysilają umysły i ciało
by wyrazić to co
poza –
to co
ponad – – –

nie przeczuwają nawet
ile obietnic
uroków
niespodzianek
kryje w sobie język
którym gadają wszyscy
hycel i Horacy

2

przed laty
Pan Cogito brał udział
w Festiwalu Poezji Obu Półkul

miejsce zdarzenia – była Jugosławia
w pobliżu jeziora Ohryd
nad rzeczką Strugą

po obu brzegach
rozsiało się
ponad 30 tysięcy
wielbicieli poezji

liryk z Paryża
Le Bon Mot
omal nie zwariował ze szczęścia
(w domu słuchała go
własna żona
i sterroryzowane potomstwo)

asceci
biczownicy
anachoreci
czystej poezji
tarzali się w obfitości
spragnionych dusz

po opadnięciu
zmierzchu
rozgorzała strzelanina
na niebie wybuchały
ognie sztuczne
zdawało się
że to nowa wojna bałkańska

nazajutrz
 wyłowiono z rzeki
 czterech chłopów
 babę
 niemowlę
 niezliczoną ilość pustych flaszek
 drzwi od stodoły
 nogę od fortepianu
 bezpańską protezę
 około 20 metrów
 łańcucha

3

przygrywał do taktu
 kwartet rodziny Wunderlich

ojciec Hansi – wiolonczela księgowa
 matka Truda – buchalteria na skrzypce i blachę
 syn Rudi – wszechstronny
 naturalna córka dziadka Wunderlich
 ergo siostra Hansiego
 córka Rudiego
 budząca słodką grozę –
 przeraźliwa
 Maryja Chaos

Pan Cogito a Małe Zwierzątko –

Nie wiadomo czy ktokolwiek zna jego osobiste zoologiczne imię tak małego nisko na samym dole poza granicą widzących oczu.

Jest to coś co waha się między istnieniem a nieobecnością znikome znikliwe jak ułomek druku cząstka fragment znaku ortograficznego, kawałek przecinka strużyna ołowiu z kaszty u drukarza.

Otwieram zimową lekturę i oto na stronie Bardzo Małe Zwierzątko przy-cupnięte do karty, zrazu nieruchome, po chwili puszcza się w drogę węsząc

między wierszami a potem na przelaj rzuca się naprzód co koń wyskoczy, naprzód z szybkością równą szybkości światła Bardzo Małego Zwierzątka (zwierzątko jest ślepe).

Ten sezon (może to jest ostatni sezon mego życia) – wszystko było jak zawsze Bardzo Małe Zwierzątko bawiło mnie i ogrzewało moje czarne serce, gdy postanowiłem książkę podarować przyjaciółom w Londynie. Zapakowałem, wysłałem. Razem ze Zwierzątkiem.

Co robi w czasie długiej podróży przez morze. Lektury ma pod dostatkiem, je przecież niewiele, ale co myśli o mnie, starym towarzysz, który zdradził.

Telefon

w nocy
dobrze po dwunastej
dzwoni telefon

przez nieprawdopodobne zasięki
mgły i drutu
przedziera się
Thomas Merton mnich
któremu niemało zawdzięczam
dzwoni tak cicho
że nawet mój
czujny kot Szu-szu
nie podnosi głowy
śpi wtulony ufnie
w stary narciarski sweter

– jak to ładnie
że ojciec nie zapomina o mnie
za życia nie udało się spotkanie
teraz możemy porozmawiać
o wszystkim –
należałoby zapytać

nad czym pracuje
a tu kołek w głowie
pypeć na języku
woda w mózgu

– a jak u Pana
pyta ojciec trapista

– bolą mnie oczy
to pewnie zapalenie spojówek
za dużo czytamy
za mało medytujemy
na oczy najlepszy rumianek

utknęliśmy w rumiankach
gaje rumianku
zagajniki werbeny
polany belladony

pochłania mnie
beźmiar
przetykany Czarnymi Dziurami
filozofia trzeciej nad ranem
filozofia kaca
ergo New Age

filozofia
lewej nogi
słowem naplewać

następnym razem
przeczytam fundamentalny buch
o filozofii
bardzo Dalekiego Wschodu

słaby ze mnie
piastun nicości

nigdy w życiu
nie udało mi się
stworzyć
przyzwoitej abstrakcji

Brewiarz

Panie,

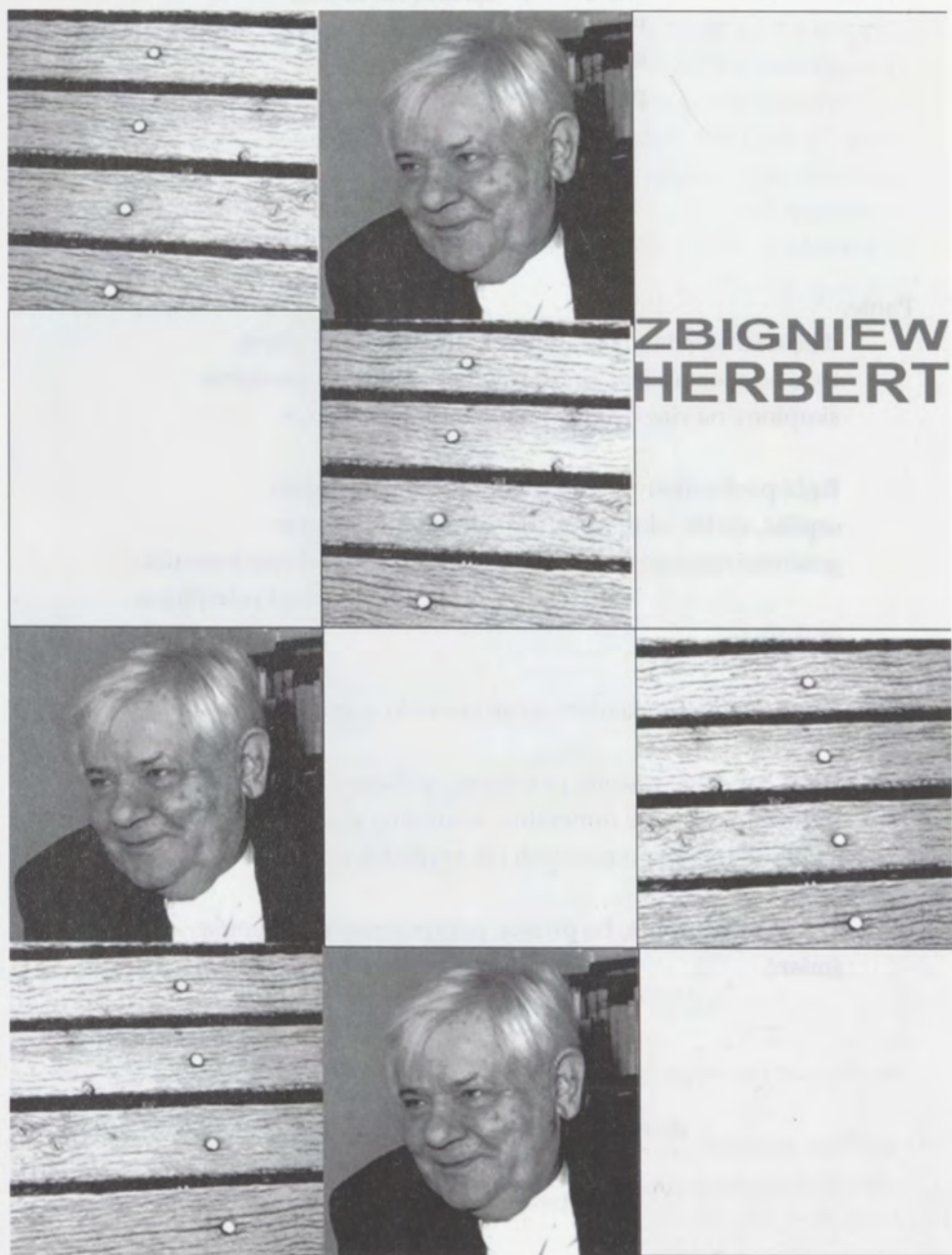
dzięki Ci składam za cały ten kram życia, w którym
tonę od niepamiętnych czasów bez ratunku śmiertelnie
skupiony na ciągłym poszukiwaniu drobiazgów.

Bądź pochwalony, że dałeś mi niepozorne guziki
szpilki, szelki, okulary, strugi atramentu, zawsze
gościnne nie zapisane karty papieru, przezroczyste koszulki,
teczki cierpliwe,
czekające.

Panie, dzięki Ci składam za strzykawki z igłą grubą i cienką
jak
włos, bandaże, wszelki przyklepiec, pokorny kompres, dzięki
za kroplówkę, sole mineralne, wenflony, a nade wszystko
za pigułki na sen o nazwach jak rzymskie nimfy,

które są dobre, bo proszą, przypominają, zastępują
śmierć.

Zbigniew Herbert



Ewa Bathelier, collage

Głosy i glosy w 10. rocznicę śmierci Zbigniewa Herberta

Stefan Chwin

Złote runo Zbigniewa Herberta

Czytanie Herberta w czasach komunizmu przez polską inteligencję – szczególnie w latach stanu wojennego – było prawdziwym festiwalem hipokryzji. Cała filozofia ruchu Solidarności – z podstawową ideą samoograniczającej się rewolucji – była dokładnym przeciwieństwem *Przesłania Pana Cogito* i od pierwszych chwil Sierpnia 1980 roku miała w sobie wpisaną zgodę na Okrągły Stół, chociaż w roku 1984 Tomasz Burek – wbrew tej prawdzie – patetycznie obwieszczał, że Solidarność swoimi korzeniami wyrosła z wierszy autora *Struny światła*. Nikt w Polsce lat osiemdziesiątych – może z wyjątkiem niewielkiej grupy skrajnych działaczy – nie chciał stawiać spraw polskich na ostrzu noża, to znaczy iść – jak wzywało *Przesłanie* – do ciemnego kresu po złote runo nicości, swoją ostatnią nagrodę. Wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego wielomilionowe polskie społeczeństwo nową, nieprzyjemną sytuację polityczną przyjęło po prostu do wiadomości, nawet jeśli jego niewielka część burzyła się na ulicach. Od grudnia 1981 roku do czerwca 1989 roku podziemna Solidarność parę razy próbowała wzniecić spektakularny powszechny protest, nie była jednak w stanie poderwać Polaków do choćby jednego tylko – dla przyzwoitości – strajku generalnego.

Herbert czuł się w obliczu takiej Polski nieswojo, nic dziwnego, że napisał wtedy *Raport z oblężonego Miasta*, w którym przedstawiał swoją samotność ostatniego obrońcy Miasta jako patetyczne, bolesne wyróżnienie, utożsamiając siebie samego z Polską prawdziwą. Dawał przy tym do zrozumienia, że spisuje kronikę oblężenia „nie wiadomo dla kogo”, bo widzi wokół siebie „najgorszą twarz – twarz zdrady” i nie chodziło mu tylko o komunistycznych zdrajców z WRON. O znacznej części realnego polskiego społeczeństwa, które w latach osiemdziesiątych wcale nie chciało umierać na Reducie Oblężonego Miasta, tylko chodziło codziennie do pracy w hutach, uniwersytetach, mleczarniach i pegeerach, myślał raczej nie najlepiej, ale tak to już u nas w Polsce jest, że jak ktoś zbyt mocno pokocha Naród (z dużej litery), zamiast

kochać po prostu naród taki, jaki jest (z małej litery), miłość do Ojczyzny nie zawsze utożsamia z miłością do konkretnych ludzi z krwi i kości, którzy realną Ojczyznę tworzą.

Zresztą i we wcześniejszych paru utworach Herbert wyrażał pewną pogardę nie tylko dla katów i tchórzy, do której jawnie i otwarcie w *Przesłaniu Pana Cogito* zachęcał sławnymi słowami: „Niech nie opuszcza ciebie twoja siostra Pogarda...”. Już w wierszu z początku lat siedemdziesiątych z niesmakiem pisał o moralnej małości społeczeństwa, które – jak wiele innych społeczeństw w pojałtańskiej Europie – przystosowało się do paskudnych okoliczności historycznych drugiej połowy XX wieku i zajęło się – jak to określał z właściwym sobie współczującym taktem poety klasyka – „handel” oraz „kopulacją”. W sławnym wierszu *Pan Cogito o postawie wyprostowanej*, dziele tyleż uniwersalnym, co aluzyjnym, charakteryzował Polskę realnego socjalizmu jako kraj kapitulantów, w którym opanowani „epidemią instynktu samozachowawczego” obywatele „nie chcą się bronić”, „uczęszczają na przyspieszone kursy padania na kolana”, „biernie czekają na wroga”, „piszą wiernopoddańcze mowy” oraz uczą dzieci kłamać. Tej konformistycznej zgrai, handlującej i kopulującej pod pojałtańskim niebem, przeciwstawił zbuntowanego, polskiego Katona, który w swoim „bezsennym pokoju” odważnie czeka na nieuchronną śmierć z rąk siepaczy tyrańskiej władzy, co było właściwie gorzką apoteozą wzniesłego samobójstwa z powodów moralno-politycznych.

Hipokryzja polskiej inteligencji przy czytaniu Herberta polegała na tym, że wszyscy (?) duchowo identyfikowali się z Panem Cogito, mało kto jednak brał Pana Cogito na serio, to znaczy chciał go naśladować krwią i ciałem, patetycznie ginąc na śmietniku historii jak Maciek Chelmiński, aluzyjnie zresztą przywołany w sławnym wierszu. Wszyscy (?) czuliśmy się Panami Cogito właśnie po to, by w świecie realnym nie być Panami Cogito. Duchowe utożsamianie się z Panem Cogito dawało nam komfort moralny. Zakładaliśmy, że z pewnością „damy świadectwo” (oczywiście we właściwej chwili, o ile zajdzie taka potrzeba), więc w duszy umieraliśmy na Reducie za Polskę i Demokrację, ale robiliśmy to w biurach, urzędach, szkołach i fabrykach, gdzie codziennie od siódmej do piętnastej pracowaliśmy pod kierownictwem pierwszych sekretarzy POP, w ukryciu czytając patriotyczne gazetki i zbierając składki na internowanych. Mam na myśli, rzecz jasna, większość z nas, nie prawdziwych bojowników podziemnej Solidarności, którzy zachowywali się inaczej i dlatego trafiali do więzień.

Nikt dotąd nie napisał jak okrutnym, lodowatym i bezlitosnym wierszem jest *Przesłanie Pana Cogito*. I niczego tu nie zmieni przypominanie, że bohater tego wiersza nie jest samym Herbertem, tylko postacią fikcyjną, do której Herbert miał podobno literacki dystans. Ten prawdziwie nieludzki wiersz niósł w sobie wezwanie do śmierci straceńczej, ale podobał się (?), jak pamiętam, prawie wszystkim z nas. W warunkach pojałtańskiej opresji, to znaczy w sytuacji zderzenia polskich marzeń o wolności z atomowym potencjałem imperium sowieckiego, które w latach siedemdziesiątych trzymało się jeszcze całkiem niezłe, wiersz ten był właściwie scenariuszem patriotycznego samobójstwa, co jednak nikogo specjalnie nie obeszło, ponieważ nikt tak naprawdę (z małymi wyjątkami) *Przesłania Pana Cogito* nie brał do siebie osobiście. Kto bowiem z nas tak naprawdę kierował do samego siebie straszliwe Herbertowskie słowa: „ocalałeś nie po to aby żyć”? Kto byłby skłonny powiedzieć do własnego syna czy córki w wieku licealnym: „Idź (...) do ciemnego kresu/ po złote runo nicości, twoją ostatnią nagrodę”? Wiersz o „królestwie zimnych czaszek”, do którego to królestwa poeta zapraszał swoich młodych i starszych czytelników, funkcjonował jako piękne alibi dla naszego „normalnego życia” w realnym socjalizmie, za co byliśmy Herbertowi wdzięczni. Nie byliśmy Panami Cogito, ale powołując się na sławne Herbertowskie frazy mogliśmy powiedzieć o sobie, że w każdej chwili możemy nim być, nawet jeśli była to patetyczna obietnica zupełnie bez pokrycia.

Dawał nam tym samym Herbert dar nieoceniony – królewski płaszcz dla naszego wyobcowania, które uwierało nam, polskim inteligentom, przez cały wiek XIX i XX. Tym płaszczem purpurowym mogliśmy uwznioślić naszą społeczną marginesowość, co też chętnie czyniliśmy. W świetle *Przesłania Pana Cogito* byliśmy „obcy” w realnej zbiorowości socjalistycznych Polaków końca XX wieku nie dlatego, że byliśmy obcy jako zwyczajni polscy inteligenci, tylko dlatego, że na wzniosłe wykluczenie skazaliśmy samych siebie, heroicznie wybierając trudny nonkonformizm, z którym większość Polaków nie miała wiele wspólnego. Czy mógł być dar piękniejszy, na jaki w swojej masie, przynajmniej, raczej nie zasłużyliśmy?

Co w poezji Herberta było najmocniejsze? Oryginalne, jemu tylko właściwe połączenie twardej, patetycznej stanowczości z mądrą autoironią. Chwytnie sprzeczności cielesno-duchowego istnienia człowieka, który zderzał się z trudnymi koniecznościami życia i historii. Don Kichot i Sancho Pansa w jednej osobie szedł przez tę poezję, lekko zataczając się na kamienistej drodze, istota z krwi i kości, która sama ze sobą nie mogła dojść do ładu. Potrafił

więc Herbert napisać bezlitosne *Przesłanie*, ale umiał też napisać wiersz *Pan Cogito obserwuje w lustrze swoją twarz*, gdzie z bólem serca przyznawał rację życiu, mówiąc z pewną czułością o koniecznościach ludzkiego „mięsa”, na które zostaliśmy na wiek wieków skazani. Czasem jednak ton autoironii, który wzbogacał wiersze, jakby słabł w jego poezji i sercu. Ale, przynajmniej, czy i w wezwaniu „Idź (...) po złote runo nicości twoją ostatnią nagrodę” był nadmiar ironii? Mądre było u Herberta napięcie między żarliwą potrzebą doskonałości i „przeraźliwie przeźroczystą doskonałością” z wiersza *Żeby tylko nie anioł*, myślenie – jak pisał Barańczak – dwubiegunowe i antytetyczne.

Ale nieprawdą jest, że w swojej poezji Herbert był zawsze dwubiegunowy i antytetyczny. Ci, którzy robią z niego **monolit dwubiegunowej ironii**, mylą się.

Czasem Herbert był poetą ironii, a czasem wcale nim nie był. Poetycki ironista miał wyraźną skłonność do zdań wypowiedzianych z zaciśniętymi zębami, które sprawiały mu wyraźną ulgę w – jak to określał – „świecie chaosu” i „głupoty”. I nie było wcale jakiejś gigantycznej przepaści między jego poezją a publicystyką z końcowego okresu życia, choć wielu chętnie odcinało *Pojedynki Pana Cogito* z listopada 1984 roku mieczem współczucia od całej reszty jego dzieła. Że niby Herbert późny to była jakaś zupełnie inna osoba niż Herbert wczesny. Nie była inna.

Obrazy zbiorowej walki ze złem nie rozgrzewały jego serca przez całe życie. Dużo bardziej zachwycały go obrazy Samotności, która – świadoma swojego tragicznego wyobcowania – przeciwstawia się całemu obojętnemu i niegodnemu światu. Ale gdy 5 listopada 1995 roku w przemowie z okazji przyznanej mu Nagrody Eliota przeciwstawił Samotnego Poetę „głupocie” świata, trudno było uznać to za przeciwstawienie zbyt subtelne.

Herbert na zawsze zastygł w fazie walki ze stalinizmem i nie przyjmował do wiadomości, że świat się zmienia. W żadne odwilże nie wierzył, chociaż odwilże były faktem i sporo w Polsce zmieniały. Twierdzenie ze *Struny światła*, że ocalili tylko niegodni, zdominowało jego sposób myślenia na długie lata. Po dwudziestowiecznej rzezi zostać przy życiu znaczyło dla niego być niegodnym. Chętnie się trzymał tego przekonania.

Poczucie, że żyje wśród niegodnych, pozostało w nim na zawsze. Dlatego twardo powtarzał: „ocalałeś nie po to aby żyć”, chociaż większość Polaków pojałtańskich, ocalała właśnie po to, aby żyć i żyła, podtrzymując Polskę przy życiu. Paradygmat Herbertowskiego światopoglądu moralnego uformował się w latach pięćdziesiątych i nie zmienił się już nigdy, co miało swoje do-

bre i niedobre strony. Żyję wśród niegodnych – tak Herbert widział swoją sytuację do ostatnich dni. Sam też jestem niegodny, bo ocalałem, nie tak jak moi koledzy z lat czterdziestych, którzy wybrali heroiczną śmierć w walce o wolność, ale wyznając w swoich wierszach, że jestem niegodny, bo wybrałem życie, jestem jakby mniej niegodny niż cała reszta, która woli o tym milczeć. W swojej poezji zadziwiająco mieszał współczucie dla ułomnej kondycji ludzkiej z lodowatą twardością serca, czego zwykle nie chcieliśmy dostrzegać. Zdanie „dusz jest stanowczo za mało/jak na całą ludzkość”, które pojawiało się w jednym z jego wierszy, zawsze wydawało mi się dość paskudne, bo dusz jest na Ziemi dokładnie tyle ilu jest ludzi, a każda ważna, nawet jeśli zupełnie niedoskonała. Barbara Toruńczyk wyczuwała w nim dumę i ambicję, która blokowała szczere kontakty z ludźmi. On sam napisał w *Martwej naturze z wężem*, że w życiu kierował się sympatią, antypatią, kornym uwielbieniem i „zapieklą niechęcią”, tak jakby dobrze się czuł tylko w świecie uczuć skrajnych. Gombrowiczowi zaś wypominał: „to by był genialny pisarz, gdyby nie brakło mu miłości”. A sam? „Ja kocham ludzi” – zapewniał Magdalenę Czajkowską.

Nic dziwnego, że w *Przesłaniu Pana Cogito* sam siebie przestrzegał przed „oschłością serca” i „dumą niepotrzebną”, a nawet „błazeńską twarzą” histriona wolności. Wiedział, że coś jest na rzeczy. Bo nawet jeśli przez chwilę napominał siebie, by w walce o wolność zachowywać ludzką czułość, choćby – jak pisał – kochając „światło na murze”, za moment powracał do żelaznych fraz lodowatego nakazu, na którego przedłużeniu otwierało się zaproszenie do śmierci, to znaczy zaproszenie nas i naszych dzieci do wzniesłego grona tych, którzy mieli w imię imponderabiliów „ginać w piasku” i na śmietniku. Wyprostowany wśród tych, co na kolanach i obalonych w proch – tak chciał widzieć siebie na naszym tle.

Naprawdę był poetą współczucia i braku współczucia. Lubił się identyfikować z samotnym umierającym Sokratesem, którego nie rozumieli nawet najbliżsi uczniowie. Tak rzecz przedstawiał w *Jaskini filozofów*, gdzie samotność ginącego za wolność intelektualisty utożsamiał z „lepszością” wobec tłumu „niegodnych”. Po rozwiązaniu „Tygodnika Powszechnego” pisał: „Mało kto [w Polsce] rozumie, co się stało”. Pisząc „mało kto”, miał na myśli samotną mniejszość, której przeciwieństwem było wielomilionowe, niewiele rozumiejące – jak uważał – polskie społeczeństwo. W roku 1952 widział Polskę jako kraj ludzi nieświadomych swego losu i lekkomyślnych, zwierzęco zabawiających się na Ziemi. Ich nieświadomości i egzystencjalnej niepowadze

przeciwstawiał własną samotność z wyboru, pisząc 23 kwietnia 1951 roku: „Jestem coraz bardziej wolny i co za tym idzie, coraz bardziej samotny” i to przekonanie o żelaznym związku między wolnością, samotnością i klęską pozostało w nim na zawsze.

Z upodobaniem utożsamiał się z tymi, którzy przegrywają. „Zawsze po stronie tych, których biją...” – tak określał swoją postawę. Znajdował w ich losie patetyczny obraz własnego wyodrębnienia, na które został skazany przez swoją osobowość i temperament, w istocie nie będąc w stanie psychicznie utożsamić się z jakimkolwiek „tłumem”, który to „tłum” kojarzył mu się – jak w wierszu o Utyce – z przyziemnym „handlem” i „kopulacją”. Czuł się wieczną mniejszością, otoczoną przez „niegodne” morze. Samotna mniejszość, która przegrywa, wydawała mu się zawsze lepsza od reszty świata. Dlatego głosił pochwałę przegrywających Kurdów, Afganów i Czezeńców. Stawał po ich stronie bez zastrzeżeń.

Pragnąłem podobnie jak on niepodległości dla Afganistanu i Czeczenii. Ale równocześnie myślałem z przerażeniem, jakie to państwo stworzyliby na Ziemi afgańscy talibowie i czeczeńscy bojownicy, walczący o wolność z zielonymi przepaskami na czołach, gdyby nie przegrali, lecz zwyciężyli. On słabą mniejszość, która przegrywa, gloryfikował z zasady. Ale mniejszość, która przegrywa, może być tak samo okropna jak siła, która zwycięża, czego on zdawał się nie dostrzegać, bo nie pasowało mu to do duchowego paradygmatu, którego się trzymał przez całe życie. Bywają mniejszości, które dążą do własnej wolności także po to, by wolność odebrać innym. On wołał żelaznym węzłem połączyć dobro ze słabością, która ponosi klęskę, a zło ze zwyciężającą siłą i obojętnością sytych widzów, którzy z oddali przypatrują się samotnemu dramatomu słabych. Był nieodrodnym uczniem romantyków, którzy wmówili nam, że klęska słabych jest wzniosła i szlachetna właśnie dlatego, że jest klęską słabych.

Podobnie jak on chciałem, żeby Czeczenia była wolna i niepodległa. Jaka jednak – pytałem – Czeczenię zbudowałby wódz Czeczenów, Szamil Basajew, który w 1995 roku – o czym Herbert doskonale wiedział – walcząc w jej obronie zajął szpital w Budionnowsku, wziął pacjentów na zakładników i zagroził im śmiercią? Herbert napisał w 1994 roku list otwarty do Dudajewa z poparciem dla czeczeńskiej sprawy, ale czy napisał list otwarty przeciwko temu, co zrobił Basajew, fanatyk religijny, gotów dla wolności Czeczenii wziąć na zakładniczki pacjentki oddziału położniczego? Ja nie słyszałem o takim liście, ale może taki list został napisany.

Czytając list otwarty Herberta do Dudajewa, byłem więc po stronie Czeczenii, ale równocześnie byłem przeciwko Czeczenii, którą stworzyliby ludzie tacy jak Basajew. Herbert nie bawił się w takie subtelności. Żądał po prostu wolności dla kaukaskich góralskich, samotnie walczących, jak pisał w charakterystycznym dla siebie, patetycznym tonie, w „przerażającej pustce otaczającego ich świata”, widząc w nich kolejne, tragiczne wcielenie samotnego Gilgamesza, Rolanda, Hektora z *Przesłania Pana Cogito*. Ja posuwałem się dalej. Pytałem: Czy chciałbym żyć w takiej Czeczenii, którą by stworzyli kaukaski górale od Basajewa, to znaczy w niepodległym czeczeńskim państwie islamskim? I odpowiadałem na to: nie chciałbym tam żyć nawet przez chwilę.

Na świecie nie ma żadnej walki dobra ze złem. Ścierają się ze sobą tylko różne rodzaje zła. Zwykle obie walczące strony są mniej lub bardziej okropne. Niestety, na Ziemi trzeba wybierać nie między dobrem i złem, jak chciał Herbert, tylko między Putinem a Basajewem. Herbert zbudował cały gmach swojej poezji po to, by tej prawdzie zaprzeczyć. Bardzo wielu ludzi było mu wdzięcznych za wzniesienie tego gmachu. Oni też chcieli wierzyć tak jak on, że świat składa się z dwóch tylko słów: „tak” i „nie”.

Pisząc *Barbarzyńcę w ogrodzie*, nie myślał o tym, co by się stało, gdyby mordowani przez inkwizycję albigensi, których losem tak się serdecznie przejął, zwyciężyli i objęli władzę nad zachodnią Europą. Ja też albigensom współczułem, ale równocześnie potrafiłem sobie wyobrazić, jaką to własną inkwizycję ta fanatyczna mniejszość religijna z epoki średniowiecza, której tragiczny los tak go wzruszał, urządziłaby swoim przeciwnikom, gdyby tylko zwyciężyła. Więc współczułem albigensom i równocześnie im nie współczułem, bo nie umiałem zapomnieć, że i prześladowani dysydenci potrafią bez żadnej litości urządzić prześladowania czarownic w miasteczkach o nazwie Salem. On sam tym sobie głowy nie zawracał. Był zafascynowany mitem szlachetnej kłęski „tych, którzy są bici”. Mit ten go wzruszał i rozgrzeszał z konieczności zagładania pod podszewkę etosu „bitej” mniejszości.

Podobnie myślał o Polsce. Ojczyzna, Naród to byli dla niego przede wszystkim polegli, a więc ci, którzy ponieśli kłęskę i których już nie ma. Ci którzy przeżyli, znajdowali się w cieniu podejrzeń. Ojczyznę rozumiał przede wszystkim jako miejsce szlachetnej śmierci tych, którzy zginęli. Lokował ją tam, „gdzie cię wdepczą w grunt/lub szpadlem, który hardo dzwoni/ tęsknocie zrobią spory dół”. To utożsamienie Ojczyzny z grobem i poniżającą śmiercią tych, którzy przegrywają, promieniowało na całą jego twórczość. Patriotyzm Herberta nie był patriotyzmem życia, lecz patriotyzmem śmierci.

Ścisłej: patriotyzmem straceńczej śmierci słabych. Symbolem tego patriotyzmu był obraz „okrwawionego węzła”, łączącego na wieki jednostkę z Ojczyzną, którego nie wolno rozerwać. Ten obraz „okrwawionego węzła”, którego nie wolno rozerwać, to był rdzeń jego moralnego światopoglądu, nawet gdy on sam w zderzeniu z systemem totalitarnym wybierał życie jako jeden z milionów obywateli komunistycznej Polski Ludowej z dowodem osobistym w kieszeni i perspektywą realsocjalistycznej emerytury. Bycie żywym po wojnie i po sowieckiej kaźni zawsze odczuwał jako nie dającą się zmyać winę. I tę mentalność emigranta wewnętrznego z wiecznie żywym kompleksem winy, jaką w jego odczuciu rodził grzech dwuznacznego ocalenia z kaźni, przeniósł także w czasy niepodległej Polski.

Rodziło to niebezpieczny wniosek: kto zginął, jest lepszy od tego, który żyje, dlatego że zginął. Kto ocalał, jest gorszy od żywego, dlatego, że ocalał. Pobrzmiwały w tym tony moralnego szantażu, od którego *Przesłanie Pana Cogito*, nie oszukujmy się, wcale nie jest wolne. Zachwycał się poległymi poetami „Sztuki i Narodu”. Dla mnie to, że Andrzej Trzebiński, poszedł do ciemnego kresu, po złote runo nicości, swoją ostatnią nagrodę, wcale nie oznaczało, że był „lepszy”. Jego poglądy polityczno-moralne pozostawały tak samo okropne i nawet nie chciałem sobie wyobrażać, jaką to Polskę urządziłoby nam Trzebiński i jego polegli koledzy, Waclaw Bojarski czy Gajcy, gdyby tylko ocalili i doszli do władzy po II wojnie, to znaczy rządzą mi i wami, Drodzy Czytelnicy, wedle swojej „imperialnej” ideologii, w niepodległej Polsce, jeśliby taka Polska powstała. Ja w każdym razie w takiej Polsce nie chciałbym żyć.

Wcale też bym nie śpiewał z radości, gdyby w tej niepodległej, powojennej Polsce rządzą mi i wami patrioci z NSZ, którzy w latach czterdziestych heroicznie ginęli w lasach jak tropione przez komunistów wilki – nimi Herbert też się zachwycał – chociaż liberalną demokrację chętnie by utopili w łyżce wody, bo woleli nieco ostrzejsze w smaku polityczne potrawy.

Nic dziwnego, że w kłótniach z Miłozsem o Gajcego i powstanie warszawskie Herbert stawał zawsze po stronie zabitych poetów, jakby czuł się delegatem krainy umarłych. Nie przypadkiem też pisząc o Norwidzie stwierdzał „wawrzyn – jedyny wart – pośmiertny”, tak jakby wawrzyny zdobywane za życia były zupełnie bez wartości, a człowieka naprawdę reabilitowała tylko utrata życia w straceńczej walce o wolność. I nie przypadkiem pod koniec swoich dni – 22 maja 1998 roku – powoływał się na sławne lodowato-bezlitosne zdanie Słowackiego: „A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei/jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec”.

Zawsze mnie raził ten okropny obraz Boga, który rzuca ludźmi jak kamieniami, jemu jednak ten obraz wcale nie przeszkadzał, podobnie jak sławna fraza – niech was, „zjadaczy chleba – w anioły przemieni”. Myśl o przerebieniu kogokolwiek na anioły i to jeszcze „siłą fatalną”, nie drogą bardziej cywilizowanej perswazji, zawsze uważałem za niebezpieczną, chociaż cieszyła się ona i nadal cieszy uznaniem wielu Polaków, którzy chętnie by kogoś przerobili na własne kopyto, wzniosłą frazą sławnego wiersza podpierając swoje moralno-polityczne fantazje.

Duch czynów straceńczych unosił się nad poezją Herberta od początku i chyba nie przypadkiem w *Ostatnim słowie* Herbert powracał myślą do samobójstwa Mirosława Holuba, który zabił się skacząc z okna. Sam, gdy w 1967 roku zachorował na zespół maniako-depresyjny, był podobno na granicy samobójstwa. Nie chciał żyć. Ale i w *Panu Cogito* pobrzmiwały samobójcze tony, nie mówiąc już o wizji Katona-samobójcy z wiersza *Pan Cogito o postawie wyprostowanej*.

Jedni pisali, że był w AK, a nawet szykował się do akcji desantowych, inni, że to wszystko nieprawda, bo nie ma żadnych dowodów na to, że był w jakiegokolwiek konspiracji. On sam w przypowieści *Rozwiązanie mitologii* pisał o samotnym Hermesie, który wybierał samobójczą śmierć po rozwiązaniu antykomunistycznego oddziału. Czy można jednak sobie wyobrazić większy paradoks niż to, że straceńczy, antytotalitarny tom *Pan Cogito* znalazł się na listach lektur w szkołach komunistycznej Polski, zatwierdzony przez totalitarną władzę do czytania i omawiania?

Antykomunizm Herberta nie miał tej intelektualnej głębi, co antykomunizm paru innych polskich pisarzy. Był raczej moralną fobią niż poznaniem. „Jakiś chłop – pisał w latach pięćdziesiątych – przyszedł do nas do ogniska i narzekał na kolektywizację, ale jednocześnie z dumą podkreślał, że jego dzieci poszły do szkoły. To był dla nas pewien problem.” Temu jednak problemowi Herbert nie poświęcił w swojej twórczości nawet jednego słowa. Załatwienie Marks’a i Hegla przy pomocy kpín z „samogonnego Mefista”, co próbował zrobić w głośnym wierszu *Potęga smaku*, uważałem za podejrzaną łatwiznę retorycznego efektu, bo Marks i Hegel to byli z pewnością, jak uważa sporo z nas, ludzie okropni a nawet podli, ale mówili rzeczy bardzo poważne, których nie można załatwić w ten sposób, więc wołałem w tej sprawie zaufać Miłoszowi jako autorowi *Zniewolonego umysłu*, niż poetyckiej anegdocie o „kartoflanych twarzach” komunistycznych agitatorów, których nieapetyczny wygląd miał ponoć na zawsze zniechęcić Herberta do komunizmu.

Pod koniec życia Herbert wyprawiał bardzo dziwne rzeczy. Okropne zdanie: „Niepodległość dostaliśmy w prezencie od historii. Nie zapłaciliśmy za nią ani kropli krwi”, brzmiało w jego ustach jak oskarżenie, choć mogło przecież wyrażać radość z bezkrwawego zwycięstwa, tak jakby on sam uważał, że w przypadku Polski krew powinna być obowiązkowa. Pan Cogito opanował go zupełnie, ale nie był to już Pan Cogito, który pamiętał, czym są blaski autoironii. Normalne – to znaczy niedoskonałe – życie polskie lat dziewięćdziesiątych uważał za okropne i prawie wszystkim Polakom miał za złe, że z chwilą odzyskania Niepodległości nie przemienili się w anioły. Przez całe życie walczył o wolność, a okazał się niezdolny do życia w wolności. Tej realnej, neurojonej, zwykłej, codziennej, paskudnej i zarazem zachwycającej, trudnej wolności Polski Odzyskanej. Kiedy w 1993 większość Polaków dobrowolnie wybrała do władzy byłych komunistów, którzy wcześniej wprowadzili stan wojenny, a teraz na życzenie narodu polskiego zostali prezydentami i premierami wolnej Polski, w listach pisał, że brak nam „ducha Czczeńców”, by się z „komuną” rozprawić raz na zawsze, co całkowicie rozmijało się z duchem demokracji, o którą przecież podobno zażarcie walczył przez całe życie.

W grudniu 1965 roku polscy biskupi napisali do biskupów niemieckich: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. On sam w *Przesłaniu Pana Cogito*, wierszu opublikowanym w „Tygodniku Powszechnym” w roku 1973, a więc osiem lat później, napisał: „Nie przebaczaj”. Gust do przebaczenia – mimo wielu wierszy pełnych współczucia i wyrozumienia dla ludzi – nie należał do jego gustów ulubionych. Podobnie jak słowo kompromis.

Od jakiegoś czasu przyglądam się nie tylko pisarzom, ale także ludziom, których pisarze przyciągają do siebie jak opilki magnesu. Może rodzaj wielbicieli świadczy o poecie równie mocno jak semantyka jego wierszy? Dość szybko zauważyłem, że do Herberta ciągną „sensaci”, ludzie z pionową zmarszczką między brwiami, których zawsze, jak mogłem, unikałem (sam miałem taką zmarszczkę, więc byłem jednym z nich), skłonni do zasępień, mocnego przygryzania wargi, skupieni w sobie jak ładunek elektryczny, zogniskowani na wartościach, twardzi i nieprzejednani, którzy z jego wierszy robili alibi dla swojego, wymuszonego przez temperament nieprzejednania. Rzecz jasna, byli też inni wielbiciele Herberta, ale tych od zasępień, jak mi się wydawało, było całkiem sporo. Nie przypadkiem też rycerze Sprawiedliwości i Prawa z zaciśniętymi zębami i pionową zmarszczką na czole, twardo lustrujący ludzką nędzę i potrząsający ludzkimi sumieniami jak brudną ścierką,

którą należy wydezynfekować chlorem moralnej sanacji, lgnęli do niego jak pszczoły do miodu, co jego samego może wcale by nie cieszyło, chociaż, nie ma rady, w swoich wierszach produkował przez wiele lat ideowe paliwo dla ich patriotyczno-moralnego zapалу. Tak właśnie bywa, gdy gubimy dar najcenniejszy: boskie lustro autoironii, w którym warto przeglądać się przez całe życie, nie tylko od czasu do czasu.

Stefan Chwin

Miroslaw Dzień

„Nieprzeniknione życie kamyka” – Zbigniew Herbert dziś

Przypadająca w lipcu 2008 roku dziesiąta rocznica śmierci Zbigniewa Herberta skłania do refleksji. Przede wszystkim można odnieść wrażenie, iż Autora *Pana Cogito* – nie wiem czy celowo, czy przez przypadek – czyta się dziś przez pryzmat tego, co dla niego samego było chyba jednak obrzeżem, naddatkiem. Chodzi mi o podkreślenie nie tylko ironicznego tonu wielu utworów (co oczywiście stanowiło integralną część warsztatu poety), ale przesunięcie akcentów skutkujących nadmiernym docenieniem peryferyjnych spraw i problemów poruszanych przez Herberta.

Byłoby to iście postmodernistyczne podejście do spuścizny Autora *Rovigo*. O tyle – moim zdaniem – niebezpieczne, że podkreślające równoważność tematów obecnych w tej twórczości. A przecież poezja Herberta od początku do końca zogniskowana jest na egzystencjalnym dramacie jednostki poszukującej usensownienia własnego bycia. W tym znaczeniu twórczość Herberta bliska była zapatrywaniom Autora *Mitu Syzyfa*, widząc w świadomym przeżywaniu własnego losu antidotum na jego tragiczność.

Dlatego uważam, że to, co u Herberta najważniejsze – wartości moralne, nie znajdują poza nielicznymi wyjątkami, znaczącej kontynuacji wśród młodszych poetów, nie mówiąc już o kwestiach natury eschatologicznej. Żyjemy doprawdy w dziwnych czasach, gdzie tracąc wiarę w obiektywne wartości zaczynamy z tym większą pasją hołubić zamęt i bylejakość. Odchodząc od rozważań nad naturą rzeczy, pogrążamy się w grach językowych; nie mogąc

dać wyrazu zdziwieniu epatujemy wulgarnością i językowym kuglarstwem, jak gdyby same słowa mogły nam (mimo ich ewidentnego bezsensu) przynieść jakieś artystyczne objawienie.

Wszystko to jak najdalej jest od Herberta trzymającego w dłoni kamyk i jego wielkie, nieprzeniknione życie.

Mirosław Dzień

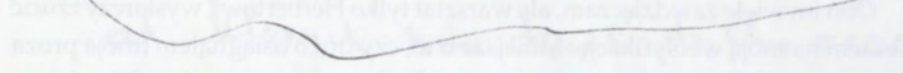
Henryk Grynberg

Tylko ocean

Poznaliśmy się w Kalifornii w roku akademickim 1970/71, gdy był gościem UCLA, a ja magistrantem (rusycystyki). Nie pogardził domowym obiadem, jakim podjąłem jego i Katarzynę w akademiku Married Student Housing, bo i ja byłem wówczas żonaty. Pokazałem mu moje najnowsze wiersze w londyńskich „Wiadomościach”. Pochwalił je, mam nadzieję, że nie przez grzeczność. Pochodziły z jego szkoły, z czego wtedy nie zdawałem sobie sprawy. Zwłaszcza wiersz zatytułowany *Morze nasze morze*. Zanotowałem go dziesięć lat przedtem w Cezarei, gdzie ujrzałem ustawione nad morzem starożytne posągi bez głów i zauważyłem, że „oczami których nie mają/i uszami których nie mają/przyglądają się i słuchają”. Obraz ten nie dawał mi spokoju aż znalazłem dla niego punkt odniesienia po masakrze na polskim Wybrzeżu. Co widziały, co słyszały moje „statuy bez głów”? „Skrzypienie i kołysanie [które]/po galerach zostało/i świst w powietrzu/po kulach i batach (...) i jęk/chodzący po plażach/każdej historii.” Wyraźną aluzją byli „niewolnicy [co] odpłynęli/nocą po kryjomu trumnami/poza granice niewoli” i konkluzja, że „woda morza zostaje/ta sama/wielka woda historii/od Cezarei do Gdańska”. Kasia miała zastrzeżenie do ciężkiego, niezręcznego słowa „statuy”, ale Zbyszek powiedział, że to jest zamierzone (czego nie jestem pewien, bo wcale się nie namyślałem nad tym słowem).

Był jednym z nielicznych poetów, z którymi przeszedłem na „ty”. A raczej on ze mną, co oczywiście uważam za zaszczyt. Było to o tyle naturalne, że mieliśmy takie same poglądy. Na wszystko. To znaczy na wszystko, gdzie mogłem podążać za jego głęboką wiedzą artystyczną, erudycją i „potęgą smaku”. Gdy przyznałem mu się, że czytając współczesnych poetów mam

Wskazywanie na ten wiek i na jego nie wian, odpowiedział z łagodnym
„Dziękuję ci bardzo, bardzo miło mi było. Dziękuję ci bardzo, bardzo miło mi było.”
Wskazywanie na ten wiek i na jego nie wian, odpowiedział z łagodnym
„Dziękuję ci bardzo, bardzo miło mi było. Dziękuję ci bardzo, bardzo miło mi było.”
Wskazywanie na ten wiek i na jego nie wian, odpowiedział z łagodnym
„Dziękuję ci bardzo, bardzo miło mi było. Dziękuję ci bardzo, bardzo miło mi było.”



Wskazywanie na ten wiek i na jego nie wian, odpowiedział z łagodnym
„Dziękuję ci bardzo, bardzo miło mi było. Dziękuję ci bardzo, bardzo miło mi było.”

212

Henryk

[Handwritten scribbles and initials]

3 prujenie

Zbigniew

wrażenie, że oni wiedzą coś, czego ja nie wiem, odpowiedział z uśmiechem: „udają”. Dlatego są tacy niekomunikatywni. Dlatego zadedykowałem mu wiersz na temat „przerostów / formy nad treścią” (*Anatomia* w zbiorze *Antynostalgia*). Do Los Angeles przybył po wizycie w Berkeley, u Miłosza, któremu zawdzięczał pierwszy przekład swojej poezji na angielski i którego czcił. „To największy żyjący poeta” – powiedział mi i całkowicie zgodziłem się również z tym jego poglądem. Kilka lat później zostałem członkiem amerykańskiego PEN-Clubu (za namową Kosińskiego, który był prezesem i chciał mieć więcej „żołnierzy”) i kilkakrotnie wypełniałem rubrykę, gdzie wstawiało się nazwisko kandydata do Nobla. Wstawiałem Miłosza. A później – Herberta. I dostałby, gdyby się nie załamał, gdyby trochę dłużej wytrzymał. Zgadzałem się z nim – i zgadzam się zwłaszcza dziś – że *Zniewolony umysł* opierał się na błędnym, naiwnym założeniu, bo chodziło nie tyle o zniewolenie umysłów, co o skurwienie charakterów. Myśmy żyli w PRL-u dłużej niż Miłosz i więcej wiedzieli.

Obu im wiele zawdzięczam, ale warsztat tylko Herbertowi, wystarczy rzucić okiem na moją wersyfikację. Mniejsza o to, czy dużo osiągnąłem (moja proza przesłania moją poezję, przegrywam konkurencję z samym sobą). W najnowszym zbiorze (*Dowód osobisty*) sportretowałem siebie w trzeciej osobie i – choć nie myślałem o Panu Cogito – wzór jest niewątpliwy. Początek jednego z tych wierszy: „Próbował żyć ale nic z tego” brzmi jak echo z *Przesłania Pana Cogito*: „ocalałeś nie po to aby żyć”. Następny wers z tegoż *Przesłania*: „masz mało czasu trzeba dać świadectwo” jest dewizą, którą zawsze głosiłem. Podobnie słynne „nie przebaczej zaiste nie w twojej mocy / przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świcie”. Zatem zawdzięczam mu coś więcej niż warsztat. A przy tym wszystkim ośmielam się nieskromnie twierdzić, że zwrotka: „a Gniew twój bezsilny niech będzie jak morze / ilekroć usłyszysz głos poniżonych i bitych” ma coś wspólnego z tym, że spodobało mu się moje *Morze nasze morze*.

Byłem w Nowym Jorku na uroczystości wręczenia mu nagrody imienia Brunona Schulza (10 tysięcy dolarów, co wtedy było pokaźną sumą). Pojechałem tam, bo miałem nadzieję, że go zobaczę, ale nie był już w stanie przylecieć zza oceanu. Inicjatorem nagrody przeznaczonej „dla pisarza za mało w Ameryce znanego” był Kosiński, a jurorem Miłosz. Kosiński w swoim przemówieniu porównywał siebie z Schulzem, bo Schulz był pisarzem i malarzem, a on pisarzem i fotografem. Przy okazji nazwał Schulza „sefardyjskim Żydem żyjącym od tysiąca lat w Polsce”, ale impreza się udała, bo bardzo dobrze

Kochanym

Krysiym

Henrykowi Grybulefon

al kłótył nme dzień tyllis ocean

3 przylazing

guzg

mesur

brismam

Zsigmiew Herbert

czytano wiersze Herberta. Akordem było oczywiście *Przesłanie*. Powiedziałem do Miłosza, że „oddalbym wszystko, żeby napisać taki wiersz” i zaraz się ugryzłem w język, bo choć skwapliwie przytaknął głową, to nawet ślepy by zauważył, że wolałby tego nie usłyszeć.

Załączone tu dedykacje nie mają dat, więc wyjaśniam. Tę nagryzmołoną pijaną ręką na tomiku *Napis* (Czytelnik 1969, Wydanie II) dostałem w Los Angeles. Widać, że chciał coś dorysować, ale – jak to po pijanemu – wyszła z tego abstrakcja. Druga, bardzo dla mnie cenna, przyszła – jak widać – zza oceanu (ale raczej nie z Polski, gdzie mój adres był wtenczas niekoszerny) zaraz po ukazaniu tego przełomowego zbioru (zamknął nim buzie przeciwnikom). Drobne, staranne litery na tej drugiej dedykacji przypominają trochę charakter pisma Miłosza. I oczywiście miał rację, że dzielił nas tylko ocean.

Henryk Grynberg

Julia Hartwig

Dwaj poeci

Dziś, kiedy stał się niemal poetą narodowym, nietrudno jest sławić Herberta. Powstały o nim książki i rozprawy, jego nazwiskiem ochrzczono kilkanaście szkół w Polsce, obchodzimy uroczyste rok Herbertowski, jego wiersze recytowane są na akademiach, odbywają się konferencje na temat Herberta-filozofa, Herberta-historyka sztuki, Herberta-historyka. Niejako zadekretowano, że we współczesnej poezji najwyższe miejsce na podium zajmuje Zbigniew Herbert.

W rozmowie z Janem Błońskim i Marianem Stalą, przed laty, Czesław Miłosz przewidział to mówiąc: „O ile wiem, poezja Herberta bardzo istnieje w Polsce i Herbert jest właściwie tym poetą numer jeden, nie Miłosz”. Na co Błoński odpowiedział mu dowcipnie: „Dla Ciebie też się jakieś miejsce znajdzie”.

I tak się też stało, obaj, nie wadząc jeden drugiemu, zajęli w naszej poezji należne im miejsca.

Niemal od samych początków poetyckich świeciło nad Herbertem słońce Miłosza. Traktował Miłosza jako swego mistrza i tak się też do niego zwracał, Miłosz zaś, który z podziwem czytał jego wiersze i szybko zaprzyjaźnił

się z poetą kilkanaście lat od siebie młodszym, pierwszy dokonał przekładu jego poezji na angielski i wprowadził go na rynek amerykański. Skutek był taki, że kiedy sam zaproszony został do Nowego Jorku, przyjęto go tam jako tłumacza poezji Herberta. Taki stan zastaliśmy przyjeżdżając do Ameryki w 1974 roku. Kiedy po czterech latach opuszczaliśmy Stany, Miłosz był już w Ameryce sławny.

Sam Miłosz tak o tym pisze: „Ja w pewnym sensie, jestem odpowiedzialny za istnienie poezji Herberta w poezji anglosaskiej i częściowo za jej bardzo wysoką pozycję w Ameryce. Całe środowisko literackie wie, kim jest Herbert. Jeśli zacząłem tłumaczyć Herberta, to znaczy, że się jego poezją bardzo przejąłem”.

Listy Miłosza do Herberta ogłoszone w 2006 roku przez Fundację „Zeszytów Literackich” i znakomite przypisy jakie im towarzyszą (z których często tu korzystam), ukazują drogę, jaką przebyła przyjaźń dwóch poetów w ciągu przeszło trzydziestu lat. Ostatni list datowany jest: Paryż, 9 V 1990.

W liście tym, podobnie jak w listach młodzieńczych sprzed lat trzydziestu, znajdujemy to samo uwielbienie dla Miłosza: „Czytałem Twoje wiersze w 29. «Zeszyty Literackim» – ogromnie podobały się Twojemu uczniowi Herbertowi”. Ale tym razem jest to wyraz hołdu dla przeszłości, obaj mówią już do siebie „jako równe bogi”.

To, co zadziwia w tej korespondencji, ze strony Miłosza, to nie tylko uznanie, ale nadzwyczaj ciepły stosunek do Herberta, widać w niej rodzaj dumy z tak świetnego młodego przyjaciela, która ma jakby odcień ojcowski, jest rodzaj serdeczności, jakiej nie odnajdujemy w żadnej innej, dostępnej nam korespondencji Miłosza i jest zarazem ton jakby odzyskanej młodości, w słownictwie, w dezynwolturze dostrzegalnej w stylu. Starszy poeta udziela też młodszemu rad praktycznych, namawia go, żeby pisał do „Tygodnika Powszechnego” i wysyłał tam nie tylko wiersze, ale i relacje z wydarzeń paryskich („Szanuję twoje skoncentrowanie się na poezji i sprawach poetyckich, ale nasz brat na tym nie zajędzie daleko w sensie zarobkowym” – pisze), dotyka nawet taktyki towarzyskiej, kiedy radzi, by nie lekcewał wziętych, jakimi obdarza go poeta francuski André Frénaud (wiersze tego poety ukazały się w Polsce w przekładzie Zbigniewa Herberta i Artura Międzyrzeckiego). Przyjazna troska powoduje też Miłoszem, kiedy pisze: „potrzebujesz rzeczy, ich piękno, poza wszelkimi zakręceniami, jest tylko zbawienne”. A kiedy Herbert wyjeżdża z Francji, Miłosz skarży się w listach na jego nieobecność w wędrówkach po Paryżu. Stosunki ich stają się bardzo osobiste, Herbert

bywa w domu Miłosza, cieszy się sympatią jego żony Janiny, która dopisuje się do listów do Herberta w sposób wskazujący na zażyłość.

Miłosz nie tylko tłumaczy Herberta na angielski, opatruje też swoje tłumaczenia obszernymi wypowiedziami, spełnia rolę pośrednika. Niewiele jest w tamtym czasie opinii o Herbercie, które byłyby tak trafne jak miłoszowskie.

„Toteż nie ukrywam – pisze – że najbardziej spośród tych ascetycznych poetów cenię Zbigniewa Herberta, który wyrzekając się wszelkich ułatwień, odnajduje proporcje niemal klasyczne. Jego ostra, krystaliczna, intelektualna poezja operuje niejako samymi kwintesencjami i w swoich skrótach sięga głęboko w zbiorowe doświadczenie, przewyżczając paraliż woli, jaki dochodzi z doznania absurdu, inteligencją zdolną do rozróżnień. Herbert, poeta ironii historycznej, potwierdza dla mnie tę stałość wśród wielu przewrotów, z jaką igła magnetyczna poezji polskiej kieruje się ku czasowi zwaloryzowanemu Cypriana Norwida.” „Wszystko co [Herbert] pisze, świadczy o tym, że stawia opór, by nie dać się ponieść językowi rozumianemu jako osobny wszechświat i by nie porzucić struktur logicznych na rzecz niewyraźnego.” „Klasyczny” jest Herbert również w sposobie odczuwania, zarówno „kruchości człowieka” jak i „wierności rzeczy”, „poezja Herberta jest niezwykle trzeźwa, cechuje ją intelektualna ostrość. Skomponowane raczej wedle biegu myśli niż języka, na tle innych utworów polskich poetów wydawały się bardziej kosmopolityczne, nigdy za cenę abstrakcyjności czy banału”. (Kto wówczas poza Miłoszem ośmieliłby się użyć w obiektywnej charakterystyce przeklętego słowa „kosmopolityczny”, mającego u nas przez długi czas sens wyłącznie negatywny?)

Na szczególną uwagę zasługuje zdanie dotyczące Herberta, lecz prowadzące do rozważań ogólniejszych, dotyczących poezji polskiej: „Tacy poeci jak Herbert mogą wskazywać na nurt prawdziwy, moralistyczno-patriotyczny, ukryty w Polsce pod pozorami, które zbiorowość utrzymuje z szacunkiem, na nurt świadczący o zasadniczej niemetafizyczności Polaków”.

Oto jedna jeszcze ze spraw, które podsuwa nam do przemyślenia Miłosz.

Pojęcie doświadczenia zbiorowego i ironii historycznej, tak trafnie zastosowane przez Miłosza do poezji Herberta, tłumaczy zarazem szeroką akceptację jego twórczości w kraju. „Jeśli klucz do poezji polskiej stanowi doświadczenie ostatnich paru dekad – pisze – to Herbert jest przypuszczalnie najlepszym jego wyrazicielem i zasługuje na miano poety ironii historycznej. Osiąga

on rodzaj chwiejnej równowagi, nasycając znaczeniami wzorce dane przez cywilizację, pomimo wszystkich niesionych przez nią koszmarów."

Twórczość Herberta staje się dla Miłosza okazją do rozważań nad obowiązkami sztuki. Przypomina, że po roku 1956 władze chętnie akceptowały sztukę tzw. awangardową, ponieważ „wolały ten rodzaj wyładowania energii, jako że odwracał uwagę od polityki”. Czy sam był za udziałem polityki w poezji?

Wiedział, że „w warunkach upolitycznienia wyobraźni zbiorowej utworom «oderwanym» grozi wegetariańskość. Tak, że nie tylko mogą być oskarżone o stosowanie uników, ale sama siła ich formy cierpi”.

Jest to zdanie o kapitalnym znaczeniu, i niejednokrotnie mogliśmy się o tym przekonać, kiedy głos poezji w ważnych momentach historycznych cichł i tracił odbiorców. Miłosz określa twórczość Herberta jako „poezję imponderabiliów, poezję z jednym absolutem – ojczyzny, Ojczyzny, obowiązku, honoru”.

Myślał zapewne o takich wierszach, jak: *Powrót prokonsula, Guziki, 17 IX, Wilki, Raport z obłązonego Miasta* czy *Przesłanie pana Cogito*.

Miłosz pisze o postawie Herberta z najwyższym szacunkiem, ta poezja imponderabiliów i poczucia patriotycznego ma przecież niepowtarzalnie wysoki kształt poetycki. Sam jednak w swojej poezji daleki jest od podobnego tonu. Kiedy Herbert solidarnie przyłącza się w swoich wierszach do poczucia wspólnoty z polskim losem, Miłosz bezustannie stara się od niego uwolnić, wygłasza *votum separatum*, bada siłę bezwładu narodowego, „poczucia podrzędności, które wyładowuje się w biciu Żydów i Murzynów”, pisze w jednym z listów, ganiąc Herberta za niefrasobliwą wypowiedź dotyczącą problemu rasowego i zlekceważenia postawy poety amerykańskiego, Allena Ginsberga.

Jest to jeden z dwu listów, w których dochodzi do skrzyżowania szpad, do ukazania różnicy poglądów dzielących obu poetów. Ten, o którym teraz mowa, dotyczy postawy politycznej, drugi – materii poetyckiej, z okazji wiersza Herberta *Studium przedmiotu*.

List wysłany przez Herberta z Paryża 28 XI 1967 roku tak zaniepokoił Miłosza, że prosił Katarzynę Herbertową o przekazanie swojej odpowiedzi możliwie szybko adresatowi, który właśnie udał się w podróż. W liście tym Herbert pisał: „Natomiast nie bardzo rozumiem dlaczego się oburzasz, że Polacy biją Murzynów [jest to aluzja do listu Miłosza: «Janka mówi, że po ostatnich pogromach robionych przez Polaków w Milwaukee przestaje

przyznawać się do polskiego pochodzenia» – przyp. J.H.J. Są to być może dwie grupy narodowościowe, które s t y k a j ą się z sobą z racji niskiego statusu społecznego. To jest prawo socjologiczne. Murzyni są rasistami takimi samymi jak Arabowie i niektórzy Żydzi. Stąd rozczarowanie niektórych zidiociałych socjalistów i liberałów. Murzynów nie trzeba zapewne bić i prześladować, ale załadować na statki i posłać do ich ojczystej Afryki, gdzie ich współplemieńcy załatwią się z nimi krótko i bez krzyku. Zupełnie, ale to zupełnie nie rozumiem dlaczego biały człowiek czuje d z i s i a j takie wyrzuty sumienia, że prędzej da się zarezać niż powiedzieć co myśli i przyznać się do logiki śp. Arystotelesa.

Jak widzisz, jestem «reakcjonistą», bo znam mechanizm władzy i tzw. logikę dziejów (nie marksistowską bo ta się nie sprawdziła). Zarzucam Tobie s e n t y m e n t a l n y s o c j a l i z m, marzenie żeby być z ludem z masą, żeby wszystko było dobrze. Nie w naszej to mocy, Czesławie, zaprawdę powiadam Ci, nie w naszej mocy”.

Nic dziwnego, że Miłosz zaniepokoił się tym listem, choć przypisywanie Miłoszowi naiwności politycznej wskazuje raczej na naiwność Herberta. Rzecz wymagała jednak zajęcia stanowiska. I tak też traktuje to Miłosz:

„Drogi Zbyszku! Twój list mnie przeraził, i nie tylko dlatego, że mówisz kropka w kropkę to samo co Witold Gombrowicz. Obawiam się, że jest on objawem zbiorowego gonienia w piętkę.

Mnie bawił Pawełek Hertz, w pewnych rzeczach się z nim zgadzałem, ale jeżeli jedynym punktem dojścia dla wszystkich polskich doświadczeń jest *anima naturaliter endeciana* to ja wysiadam. Wysiadam, jeśli mądrość rzekomo historyczna ma sprowadzać się do prowincjonalizmu, tak niestety muszę interpretować Twój list. Wyjaśniam. Świat nie jest dobry i polskim bzikiem jest przypuszczać, że s z c z e g ó l n i e z ł y był dla nich.

Po drugie, wyprowadzać jakiegokolwiek wnioski z marksizmu, socjalizmu etc. na podstawie znajomości UB czy Gomułki jest prowincjonalnym uproszczeniem. Ani też nie myślę, żeby trzeba było zachowywać się jak niezłomni więźniowie łagrów, po 10. latach tam pobytu utrzymujący «płomienną wiarę» w Marksa i Lenina. Niemniej wyjaśnianie mego «sentymentalnego socjalizmu» chęcią, żeby wszystkim było dobrze, jest zupełnie nieuzasadnione. Moja racja w Ameryce 1967 jest taka sama jak w Polsce 1933 roku (mogą być przesunięcia dat, długotrwałość procesów). A tam nie chodziło o «szczęście dla wszystkich» tylko o absurd, którego człowiek jako istota rozumna nie może znieść *à la longue*.

Co do Murzynów, podobnie jak Ważyk śmieję się z pelzania przed nimi. Ci w Ameryce to ludzie chorzy. Ale nie można ich odesłać do Afryki, podobnie jak Żydów z Polski nie można było wysłać na Madagaskar. Broniąc białych pogromszczyków nie wiesz kogo bronisz. Co oni znaczą nie tylko w tym sensie. *Ghetta* w miastach, Wietnam, Ameryka Łacińska to są sprawy w moim zasięgu, w moim nieco zasięgu, dzięki prawu dużych liczb jest Gomulka i jego aparat i nie rozumiem w a s, tj. Polaków siedzących na boku i mających wszystko wszystkim za złe."

Oba zacytowane tu fragmenty odbiegają charakterem od reszty korespondencji, wyczuwalne jest w nich napięcie. (Zwłaszcza owe „was, tj. Polaków siedzących na boku...” mogło wydawać się zastanawiające.) Również Herbert daje się ponieść słowom, nic więc dziwnego, że odpowiedź Miłosza jest tak zasadnicza.

Na tym ta wymiana zdań się urywa, wskazuje ona jednak dostatecznie na dzielące obu poetów różnice. Herbert nazywa siebie żartobliwie „reakjonistą”, Miłoszowi zaś przypisuje, całkiem już serio, „sentymalny socjalizm”. Stanowiska niemożliwe do pogodzenia. Miłosz okazuje jednak najlepszą wolę, kiedy na zadane mu kiedyś pytanie o dzielące obu poetów różnice światopoglądowe, odpowiada: „Wie pan, w ocenie jakiegoś poety nie możemy się wdawać w krytykę. Powinniśmy przyjąć adekwatność jego utworów do jego myślenia, do jego filozofii, z całym dobrodziejstwem inwentarza”.

Herbert okazał się jednak mniej wyrozumiały wobec Miłosza i choć długo znosił w milczeniu bolesną krytykę polskich narodowych przywar, jakiej dokonuje niejednokrotnie Miłosz, pod koniec życia wypomni mu wszystko, zarzucając obcość narodową, a nawet wrogość.

Burzliwy koniec tej przyjaźni stał się sprawą powszechnie znaną, zaowocował bowiem licznymi komentarzami literackimi.

Na przyjęciu wydanym przez przyjaciół w Kalifornii Miłosz miał się jakoby wypowiedzieć za wcieleniem Polski do Sowieckiej Republiki Rad, wypowiedź niemożliwa wprost do wyobrażenia i paradoksalna, na domiar gospodarze przyjęcia zaprzeczają, jakoby tak właśnie brzmiały słowa Miłosza.

Od tamtego spotkania w Kalifornii stosunki między obu poetami załamały się, Herbert coraz ostrzej zaczął wypowiadać się o Miłoszu, ogłosił też w prasie wiersz *Chodasiewicz* stanowiący rodzaj paszkwilu na Miłosza, a w wywiadach udzielonych pod koniec życia tygodnikowi „Solidarność” odmawiał mu wszelkich zalet nie tylko obywatelskich, ale i poetyckich, choć przez długie lata uznawał go za swojego mistrza. Charakterystyczny dla atmosfery

otaczającej to zerwanie był fakt, że redaktor „Tygodnika Powszechnego”, Jerzy Turowicz, wielbiciel poezji zarówno Miłosza jak i Herberta, odmówił wydrukowania wiersza *Chodasiewicz* w swoim piśmie.

Wielbiciele Miłosza i Herberta, do których dotarły strzępy relacji tego wydarzenia, boleśnie odczuli nie tylko sam konflikt, ale i zapalczywość z jaką Herbert atakował Miłosza, przypisywaną również chorobie. Patrząc dziś z oddalenia lat możemy śmiało powiedzieć, że ten smutny koniec przyjaźni ujawnił tylko różnice światopoglądowe dzielące od początku obu poetów. W jednym z późnych wywiadów Herbert stwierdzi: „Miłosz jest jednym z tych poetów, którzy byli moimi przeciwnikami zawsze – jeśli chodzi o poglądy polityczne”.

I dodaje: „Przy czym ja dalej uważam Miłosza za człowieka literacko pożytecznego, tylko żeby nie pisał esejów, bo nie umie pisać po polsku prozą, a proza jest dla mnie sprawdzianem języka”. No!

Choroba wiele może tłumaczyć z gwałtownej zapalczywości Herberta, jednak zarzewie tego wybuchu od dawna musiało tlić się w Herbercie. W roku 1980 Miłosz dostaje Nagrodę Nobla, zajmuje w Stanach miejsce pierwszego poety, co publicznie zaświadcza Josif Brodski, również noblista i podobnie jak Miłosz, nie-Amerykanin z pochodzenia. Pojawiły się więc i takie przypuszczenia, że Herbert z rozgoryczeniem przeżył zmianę swojej sytuacji strategicznej, nie tylko w Polsce ale i w Ameryce, z powodu właśnie miłoszowskiego Nobla. O takich pobudkach nic niestety pewnego powiedzieć nie potrafimy, a nawet nie bardzo przypadają nam one do gustu. Sam Miłosz już dużo wcześniej próbował zabezpieczyć ich przyjaźń przed posądzeniem o rywalizację i stawiał sprawę otwarcie:

„Czy jest dla mnie rywalem? – pytał. – Myślę, że nie, dlatego, że on pracuje w innym rejestrze. Jego poezja jest kaligraficzna, o wiele bardziej kaligraficzna niż moja”.

A jednak do zderzenia doszło i atakującym był Herbert. Wiele jednak wskazuje na to, że był to atak nieunikniony. Kiedy Miłosz pisze, że Herberta cechuje przywiązanie do jednego imponderabilium: Ojczyzny, doskonale wie, że obaj pojmują swoje zadania w odmienny sposób. On sam swoje przekonania wyraża nie kojeniem i heroizacją polskich bólów, ale protestem przeciw przywarom, jakimi nazbyt często cechuje się *anima naturaliter endeciana*: małoduszności, szowinizmowi i ciasnocie horyzontów.

Używa języka bardzo ostrego, który mógłby wskazywać na to, że Herbert ma rację zarzucając mu odstępstwo od polskości. Miłosz przypomina w swoich osądach Norwida, który nie szafował wyrozumiałością dla rodaków.

Miłością Miłosza jest polska Litwa i język, któremu do końca pozostał wierny, to on jest jego najbliższą ojczyzną. Swoją twórczością złożył jej hołd najwyższy, najczulej może w wierszu: *Moja wierna mowa*.

Ataki Herberta znosił Miłosz bardzo źle, czuł, że są niesprawiedliwe. Ostrożny w przyjaźniach, w stosunki z Herbertem włożył wiele serca. Dla obu poetów był to rodzaj dramatu, i to bardzo bolesnego. Nie chodzi bowiem o problem winy, ale o nieuchronność tego konfliktu. Szkoda tylko, że zakończenie miało charakter tak nieobyczajny, choć w chwilach ostatnich nastąpiło coś w rodzaju pojednania.

Julia Hartwig

Maria Kalota-Szymańska

Spotkania z Herbertem

Zbigniewa Herberta poznałam w zamierzonych czasach studiów – oboje chodziliśmy na seminarium z filozofii u profesora Henryka Elzenberga poświęcone problemom etyki i estetyki. Skład owego seminarium był dość osobliwy – większość stanowili pracownicy naukowcy różnych dziedzin, rekrutujący się z kierunków humanistycznych, ale uczestniczyli w nim także studenci.

Do chwili naszego spotkania na seminarium, Herberta znałam jedynie przelotnie. Teraz poznawałam go w dyskusjach toczących się tak w czasie seminarium, jak i na korytarzu Collegium Maius w przerwie między zajęciami. Poza tym widywaliśmy się czasami w restauracji Pod Trzema Koronami, gdzie często ze znajomymi z uczelni jadaliśmy obiady – w tamtych czasach jedzenie w stołówce było nie do zjedzenia, więc szukaliśmy innych jadalni. Herbert także niekiedy wpadał Pod Trzy Korony, przysiadł się wtedy do naszej grupki i gadaliśmy. O czym? Dzisiaj nie pamiętam.

Gdybym musiała określić bliżej jego osobę na podstawie ówczesnej znajomości, w czasie krótkiego, bo trwającego jedynie rok pobytu Herberta w Toruniu, powiedziałabym: miły kolega, z dużym poczuciem humoru, człowiek bardzo inteligentny, koneser sztuki, błyskotliwy, ale także nieco zamknięty i skryty. Był niezwykle szarmancki, na przykład zawsze gdy spotykaliśmy się na ulicy, kłaniał mi się głęboko, niemal zginał w pas. Śmieszyły mnie nieco

te ukłony, powtarzane niekiedy kilka razy w ciągu jednego dnia – Toruń był wtedy miastem niedużym, życie ogniskowało się w nim wokół Starego Miasta i nietrudno było się spotkać. Lubił też pokpiwać sobie z bliźnich.

Z pustymi przeważnie kieszeniami ludzi ówczesnie związanych z uniwersytetem wiąże się pewna historyjka. Od razu zaznaczam, że nie słyszałam jej od samego Herberta. Krążyła opowieść jak to Herbert dostał, chyba od radia, zlecenie na napisanie reportażu o ówczesnej wsi. Oczywiście wziął zaliczkę, dzięki której spłacił wcześniej zaciągnięte długi. To, co na wsi zobaczył, to był istny koszmar – próby kolektywizacji napotykały ogromny opór chłopów. Jasne było dla Herberta, że nie może napisać prawdy o sytuacji wsi, że w reportażu musiałby napisać wierutne bzdury. W tej sytuacji jedynym sposobem „zachowania twarzy” było zwrócenie zaliczki. Kieszenie ówczesnych studentów i asystentów, jak już wspomniałam, bywały na ogół puste, tak więc Herbert popadł w spore kłopoty. Po czasie jakoś się z nich wygrzebał, ale później już nie mógł liczyć na jakiegokolwiek zlecenia.

Na przełomie 1949 i 1950 życie na uniwersytecie zmieniało się, i to wyraźnie na złe; ofensywa ideologii zmieniła wszystko... Dymisje, egzaminy z marksizmu i leninizmu, Stalin jako wielki językoznawca itd. Nacisk ideologiczny był coraz bardziej natrętny... Na Humanistyce dwóch profesorów zawieszono w czynnym życiu akademickim. Znalazł się w takiej sytuacji profesor Elzenberg i od nowego roku akademickiego straciliśmy możliwość udziału w seminarium. Nie wiem kto wynalazł możliwość działania tzw. *privatissimum*, ale forma oporu przed ewidentną głupotą była całkiem niezła. Spotykaliśmy się na ogół raz w miesiącu w mieszkaniu Profesora. Herbert wyjechał już z Torunia, ale figurował na liście uczestników – moja pamięć nie notuje jednak jego fizycznej obecności na *privatissimum*.

Czas płynął. Cenzura nie działała już tak sprawnie, nastal bowiem, rzecz można, okres odkręcania śruby. I na fali znalazł się Zbigniew Herbert ze swoim pierwszym tomikiem, zatytułowanym *Struna światła*, wydanym w Czytelniku w 1956 roku. Z dnia na dzień stał się sławny. Na uniwersytecie często widywało się dziewczyny, które manifestacyjnie chodziły z tomikiem Herberta pod pachą. Dzięki wstrzemięźliwości w niedobrym okresie ideologizacji, który właśnie przemijał, Herbert nie miał na swoim koncie ani jednego wiersza sławiącego „jedynie słuszny” ustrój, tak jak się zdarzało większości debiutujących w owych smutnych latach.

Długo nie miałam z Herbertem kontaktu. Od profesora Elzenberga wiedziałam, że przeważnie przebywa on za granicą. Niespodziewanie spotkałam go

na Zjeździe Literatów Polskich w Poznaniu. Niewiele się zmienił od ostatniego mojego z Nim widzenia. Jak zawsze elegancki, zaprosił mnie na obiad. Pamiętam to spotkanie, piliśmy czerwone wino, Herbert tryskał humorem, kpił niemiłosiernie z osób biorących udział w wyścigu do stołków – był w tzw. Komisji-Matce i nieźle zdaje się bawił, obserwując szacownych kolegów po piórze, którym tak bardzo zależało na pełnieniu funkcji związkowych. Wspominał Toruń, głodne lata studiów, wypytywał mnie, co się teraz dzieje na UMK. Nie mogłam wiedzieć, że widzę go ostatni raz w życiu. Później już tylko wymieniliśmy listy w sprawie mojego utworu, który miał być nadany w Zagrzebiu. Wiedziałam, że Herbert również publikował w Radiu Zagrzeb. Zwróciłam się więc do niego listownie o poradę, co w tej sytuacji mogę zrobić, ponieważ publikowanie za granicą było zakazane przez władze. Odpisał mi, żebym się nie przejmowała – on uważa podobne zakazy za bzdurne i ma zwyczaj wyrzucać je do kosza na śmieci, a zresztą nawet jeżeli nas aresztują, to będziemy w świetnym towarzystwie czołowych przedstawicieli literatury (na przykład Jarosława Iwaszkiewicza).

Niedługo potem zmarł Henryk Elzenberg. Byłam na jego pogrzebie. Pewnie i Herbert na nim był. Możliwe, że się nawet spotkaliśmy, ale ja sobie tego nie przypominam. A może był akurat za granicą? Nie wiem. Wiem jednak na pewno, że Henryka Elzenberga i Zbigniewa Herberta łączyła wyjątkowa więź – z upływem lat relacje Mistrz-uczeń przeobraziły się w głęboką i serdeczną przyjaźń. Może to zresztą jedyny właściwy stosunek ucznia do Mistrza, i *vice versa*?

Maria Kalota-Szymańska

Bogusław Kierc

Herbert

Muszę od razu powiedzieć, że moje odniesienia do Herberta od owych dziesięciu lat, które minęły od jego śmierci, są w zasadzie tylko osobiste. To znaczy, że towarzysząca im refleksja niespecjalnie szuka czegoś, co mogłoby współgrać z jakimś ogólniejszym symptomem obecności i wpływów Zbigniewa Herberta widocznych (niewidocznych) w literaturze czy w faktach przez nią generowanych. Mówię o tak zwanej żywej obecności i o żywych

wpływach, czyli o takim byciu (czy niemal bycie), które (który) „odwołuje” śmierć. Jestem świadomy ryzyka będącego ceną takiej konstatacji. Zatem ryzykuję i brnę w tę niejasną stronę.

Niniejsze zapiski zacząłem 1 marca, jak się okazuje – co do dnia – dzień lat po premierze *Rekonstrukcji poety*, którą zrealizowałem w Teatrze Współczesnym w Szczecinie. Wcześniej wyreżyserowałem *Rekonstrukcję...* dla Teatru Telewizji w roku 1981. Realia portowe, w jakich umieściłem wówczas akcję dramatu o Homerze, wyostrzyły jego aktualną wymowę i – mimo zapowiedzi w programie tygodniowym – nie dopuszczono do emisji. Rzecz obejrzało parę osób wtajemniczonych i – to oczywiście – osoby urzędowe. Wprowadzenie stanu wojennego oddaliło kategorycznie możliwość premiery telewizyjnej.

Punkt ciężkości przedstawienia szczecińskiego umieściłem gdzie indziej. Co innego pociągało mnie w tym fascynującym tekście. Opowieść Homera zaczynająca się tak: „Wdrapałem się na ołtarz i dotknąłem twarzy boga. Usta miał zamknięte jak muszla. Był ślepy jak ja. Zrobiło mi się żal i aby go pocieszyć, ułożyłem małą odę”. Mała oda Herbertowego bohatera jest esencją jego (Herberta) „drapieżnej miłości konkretnego”, jak i uwrażliwienia na dotykalne „ciało nieobecności” (boskiej i Bożej), zmysłu pozwalającego („tylko w wielkiej ciszy”) wyczuć puls jego istnienia „nieustanny i znikliwy/jak fala światła”.

Inaczej mówiąc ów zewnętrzno-wewnętrzny zmysł zajął moje obcowanie z „żywością” Herberta. Burzę, podczas której umierał, widziałem, słyszałem, czułem jej zapach i metaliczny smak – w miejscu wyjątkowym dla takich wyładowań, między dwiema górami: Radunią i Ślężą. Nie szukałem żadnego jej zwiastowania w „alfabetycznie ułożonym” *Epilogu burzy* (nie wiem, czy to świadoma decyzja Poety, który sam zaprojektował okładkę, czy pomysł liternika, żeby drugie słowo napisać małą literą), bo nie o taki desygnat upomina się tytuł tej książki. Przypuszczam (jestem pewny), że odsyła przede wszystkim do Szekspirowskiej *Burzy*, do ostatniego monologu Prospera rezygnującego ze swoich czarodziejskich mocy. Zarówno Rilke jak Auden odnoszący się do tego epizodu wydają się być bliscy myślom Herberta przed porwaniem „na inny/jeszcze wyższy/zamek”. Te słowa pochodzą z *Wysokiego Zamku*, wiersza dedykowanego „Leszkowi Elektorowiczowi/z nie-złomną przyjaźnią”. Wyobrażam sobie, że Autor *Epilogu burzy* czytał Elektorowicza przekład *Prospero do Ariela* z poematu *Morze i zwierciadło*. Nie wykluczone, że to ja czytam ten przejmujący tekst niejako „przez” Herberta. Ale poznawszy wcześniej – nie doszukiwałem się żadnych analogii. I teraz też ich nie szukam.

One istnieją niezależnie od intencji (czy tendencji) czytelnika. Chodzi tu po prostu o stan człowieczego doświadczenia artysty gotowego na odejście. „Już umyłem nogi” – żartował podobno.

Pewnie, że inna jeszcze *Burza* uwydatnia tonację ostatniego tomu Herberta. To tajemniczy obraz Giorgiona. Nie poddający się – jak dotąd – wiarygodnym interpretacjom. Jedno wszak wydaje się niewątpliwe: widzenie drugiego brzegu. Siedząca tam kobieta, okryta zaledwie białą pelerynką, nie sięgającą nawet do łokcia, odsłaniającą pierś, z której pije krzepkie dzieciątko, niekoniecznie jest Wenerą karmiącą Kupidyna; dopatrywałbym się raczej alegorii miłosierdzia (w sensie przywrócenia, apokatastazy). Mam nieodparte wrażenie, że mężczyznę stojącego w lewym dolnym rogu obrazu łączy z karmionym dzieckiem jakaś oniryczna tożsamość: to on sam: „oto żyję w różnych czasach, nie istniejący boleśnie nieruchomy/i boleśnie ruchliwy i nie wiem zaiste, co mi jest dane, a co odjęte/na zawsze”.

Rozjarzony zarys błyskawicy ma swoje przedłużenie w konturach rozdzielonych brzegów.

Zatrzymuję się dłużej przy tym obrazie, czy – przy tych obrazach, bo ich istotność narzuciła mi się po przeżyciu, którego nie kojarzyłem ani z tamtą lipcową burzą ani z tą Szekspirowską. Nie pamiętam, w jakim periodyku zobaczyłem fotografię Herberta-chłopca, z wakacji na Helu, w sierpniu 1939 roku (choć wydaje mi się, że fotografia jest o rok wcześniejsza). Patrzyłem na wizerunek tego jeszcze dziecka, wiedząc, kim się stało dopełniwszy swojego losu tutaj, ale także – nie mogłem przytłumić myśli o jego bezpośredniej przyszłości, która niedługo miała się okazać czasem wojny. Erozja tego czasu wrysowała się w duszę, świadomość, zmysłowość chłopca, młodzieńca, mężczyzny – jakby te fazy rozwojowe miały się spełnić od razu w jakiejś implozji, żeby wyłonić – jakby powiedział Słowacki – dziw: kogoś, kto jest zarazem chłopcem, młodzieńcem, mężczyzną – tak samo w dziecku na początku, jak w starcu – na końcu. Zrozumiałem, że patrząc na fotografię tego, którego nazywając sobie Arielem, mam za kogoś, kto może być w każdym – tym właśnie, którym każdy jest – wolny od siebie. I to (pozornie bezosobowe, ale – istotowe) „udzielanie się” Herberta wydało mi się najważniejszą wartością. Po nim.

Przenikliwie mówił przecież o tym Czesław Miłosz w wierszu *O poezji, z powodu telefonów po śmierci Herberta*: „Oswobodzona z majaków psychozy / z krzyku ginących tkanek / z męki wbitego na pal / Wędruje światem / Wiecznie jasna”. Wiecznie jasne pozostają jej najszybsze ciemności, ontologiczna miazga i czarne dziury sumienia.

Co to znaczy? Bardzo rzecz upraszczając, powiedziałbym, że jasnością poezji Herberta jest jej rozpoznawalna kantylena, czy – jak to kiedyś określił Krzysztof Myszkowski – jej moduł.

To tak, jak bywa z przejrzystością powietrza właściwą temu miejscu, tej właśnie pogodzie; cokolwiek się zdarzy, będzie widoczne – tylko tutaj – z nie-spotykaną gdzie indziej wyrazistością. Myślę, że w tej przejrzystej jasności przestajemy powoli „zobowiązywać” Herberta do bycia prorokiem czy wieszczem, autorytetem moralnym i kim tam jeszcze w panteonie etycznych uniesień. Pojęcie o rozmiarach tej przemiany w rozumieniu i odczuwaniu dzieła i samego Poety może dać obszerny zbiór materiałów z konferencji naukowych, które odbyły się w Warszawie i w Krakowie cztery lata temu. Ale jest coś jeszcze poza uporządkowanym, zracjonalizowanym obcowaniem z uznaną wielkością. Coś, co sprzeciwia się samemu ustanowieniu tej wielkości i w tym sensie jest jakby „przedustawne”. Nazwałbym to rodzajem osmozy. Dokonującej się między tym, co Herbert nam zostawił, a tym, czego nasze (często nieuświadomione) głody domagają się od „rozmowy z żywiołami”.

Okazało się, że niewiele mniej znaczą (niewiele mniej od pisanych refleksji) rysunki z notatników Autora *Barbarzyńcy w ogrodzie* i *Martwej natury z wędzidłem*. *Notabene*, rysunki zachwycające niekiedy, wcale nie dlatego, że wyszły spod ręki wielkiego poety. Ale zachwycające tym właśnie, o czym chwilę wcześniej powiedziałem – swoim „nie-zobowiązaniem”, nie-zobowiązaniem do tego, żeby być „dziełem sztuki” ani do tego, żeby unaoczniać artystyczne świadectwo minionego, czy mijającego – *hic et nunc* – przeżycia. Zachwycają (mnie zachwycają) swoją natychmiastowością i graficznym zdecydowaniem – podobnym do tego, jakie mieli chińscy akwareliści czy mistrzowie japońskiej kaligrafii, i nie o żadne porównania czy analogie tutaj chodzi.

Zdarzyło się, że będąc we Lwowie w 2005 roku, zamieszkałem w hotelu w pobliżu katedry Świętego Jura, i z pokoju widziałem całe gniazdo starego miasta. A ponieważ łóżko było przy szerokim oknie, więc o wczesnym świcie, jak i o zmierzchu i nocą mogłem być wtapiać się spojrzeniem w tę miś czy gniazdo starego Lwowa; zasypiałem niemal w tym gnieździe i budziłem się w nim. Znikąd w okolicy nie można było tak zobaczyć miasta i to, co widziałem, natychmiast ulatywało do jakiegoś współodczuwania z duchową obecnością Zbigniewa Herberta. Żaden sentymentalizm ani fotogeniczna retoryka duszy nie wpływały na te moje – żartobliwie mówiąc – ćwiczenia ejdetyczne. To właśnie owa, wspomniana wcześniej, osmoza sprawiła, że będąc tutaj, nie

mogłem nie być w intensywnej pamięci o nim. Podobnie wnikają w nią (w tę pamięć) rady i podpowiedzi etyczne – nie jako pewien wzorzec normatywny, ale jako żywe oddychanie. Takie, które się czuje na karku.

Dopiero dzisiaj spostrzegłem, że najintensywniejsze z tych ćwiczeń (choć niemal całkowicie uniezależnione od myślenia o Herbercie) miało miejsce 17 września. W katedrze ormiańskiej.

Można – i pewnie trzeba – to potraktować jako zbieg okoliczności, kiedy się z tego przeżycia zwierzam. Ale zachowując je tylko dla siebie, nie muszę szukać żadnego wytłumaczenia, bo jest mi niepotrzebne. Podobnie, jak w tych osmotycznych relacjach z uobecnieniami poezji w przedmiotach myśli, refleksji, zachwytywów Zbigniewa Herberta. Być może jest wśród poetów polskich tym, który w najwyższym stopniu osiągnął sztukę (doświadczył bólu) przeistoczeń. To, że kojarzę go z Arielem, który potrafi rozproszyć się wśród elementów a zarazem przybrać postać, jaką zechce, więc także cierpiącego starca myjącego nogi na spotkanie ze śmiercią – to chyba też nie wyniknęło jedynie z moich upodobań teatralnych... W *Labiryncie nad morzem* wyznał coś, czego konsekwencje znajduję w całej jego twórczości, dotyczy to jakby tylko wybranej sfery, ale wiem (czuję i jestem pewny), że tak nie jest. Herbert pisze o tym, że, kiedy w dzieciństwie ojciec opowiadał mu o Tezeuszu i Minotaurze, uczuł „bolesny skurcz serca i współczucie dla pół zwierza, pół człowieka, spętanego labiryntem i obcą sobie ludzką historią, pełną podstępów i toporów”.

Tuż przed tym wyznaniem opisuje scenę przedstawioną na attyckiej amfote czarnofigurowej. Trzy ostatnie zdania tego opisu mają cudowną ścisłość poezji: „Minotaur jest piękny i bezbronny. Ma kształtne ciało młodzieńca o głowie byka. Z jego karku spływa na ziemię warkocz krwi”.

Najgłębiej mnie przejęło, że do owej czułości dla Minotaura przyczynił się jego „prywatny Minotaur, mieszkający pod schodami wiodącymi do piwnicy”. Dla niego musiał przekroczyć surowy rodzicielski zakaz zadawania się ze zwierzętami – nosicielami zarazków. Składał mu ofiary ze swojego poskromionego łakomstwa – czekolady i cukierki, których Maciuś i tak nie zjadał. Za chorobę większą od tych, którymi zagrażał kontakt ze zwierzęciem, uważa Herbert kalectwo, jakim jest „zatamowanie zakorzenionego w nas, od paleolitu, uczucia czci i poddania się woli nieznanego”. To właśnie Maciusiowi zawdzięcza, że późniejsza lektura mistyków nie była dla niego całkiem niezrozumiała. Całą duszą czuję i rozumiem to wynurzenie Herberta: „był dla mnie niedostępny, wypełniony obcym życiem, rzadko odpowiadał

pomrukiwaniem na moje litanie miłosne, na moje strzeliste akty uwielbienia, patrząc obojętnie z wyżyn swojej kociej boskości". Czy to dziwne, że słyszę podobną tonację jak w cytowanych na początku tych notatek słowach Homera z *Rekonstrukcji poety?*

Nie jestem chyba jednym z niewielu czytelników, którym poezja Zbigniewa Herberta przemieniła się w głos wewnętrzny, wyraźnie słyszalny wśród innych głosów śpiewającej duszy. To, co przyjmuję jako wiatyk, ma postać tych dwóch linii z *Podróży*:

żebyś nie tylko oczami ale także dotykiem poznał szorstkość ziemi
i abyś całą skórą zmierzył się ze światem

Bogusław Kierc

Wojciech Ligęza

Sukces, przesyt, znaki obecności

Twórczość Zbigniewa Herberta kryje jeszcze wiele tajemnic, chociaż jest to artysta czytany i komentowany, a podziwiane jego utwory, mocno przecież zakorzenione w kulturze polskiej, poddawane krytycznym rewizjom, odkrywane przez kolejne pokolenia, należą do osiągnięć najwyższej miary. Pisarz, który kształtuje stan umysłów, nie zostaje od razu klasykiem, nie grozi mu chłodna obojętność spowodowana wyniesieniem w sferę, gdzie bytują wielkie cienie, poza czasem, poza aktualnymi sprawami. W ostatnich latach jeszcze bardziej wzrosło zainteresowanie Herbertem. Kanon tekstów rozszerzył się o inedita – utwory poetyckie, eseje, listy, nie słabnie napór pospolitego ruszenia krytyków, mnożą się konferencje naukowe poświęcone Herbertowi, przyrasta ilość spotkań, powstają adaptacje teatralne jego utworów, filmy o poecie oraz spektakle muzyczne, przetrząsa się zbiory archiwalne, rysunki podróżującego artysty zagościły w galeriach. Wiersze poety przekładane są na wiele języków. Dziennikarze też nie próżnują, przenosząc elitarnego poetę w obszar kultury masowej, z dobrą i złą wiarą wypaczają jego wizerunek, a bywało i tak, że niewczesne inkwizytorskie zapędy, albo „brudne czyny” sprzedawania sensacji wyrządziły moralną krzywdę tym wszystkim, którzy Herberta pamiętają. Bez umiaru i taktu, a nade wszyst-

ko bez zrozumienia przywoływano płaskie i podle świadectwa utrwalone w ubeckich papierach.

Biblioteka Herbertowska wciąż się rozrasta, sezony kulturalne przynoszą książki autorskie, publikacje zbiorowe, numery monograficzne periodyków. Coraz trudniej zliczyć pojedyncze omówienia: eseje, artykuły, szkice wspomnieniowe, przyczynki. Kalendaria imprez kulturalnych często odnotowują nazwisko autora tomu *Pan Cogito*. Nie można poprzestać na wzmiance o wewnętrznym dialogu literatury. Pisarzy postępujących po śladach Herberta jest legion, a kwestię, czy się do tego przyznają, czy o tym milczą, uznać należy za drugorzędną. Nie chodzi jednak o naśladownictwa i kalki literackie, gdyż o wiele istotniejsze znaczenie mają kontynuacje, komentarze, niekiedy spory utrwalone w języku artystycznym. Ze świadectw o wierszach, z zapisów dotyczących osoby poety złożyłaby się sporych rozmiarów antologia. Zwróćmy uwagę na mnogie nawiązania: zaszyfrowane, bądź jawne historie o poecie, opowieści mityczne, parafrazy, rozsiane aluzje, cytaty, motta, dedykacje. Liczne sposoby naprowadzania uwagi czytelnika na rozmowę z Herbertem – jego świat poetycki, sposoby myślenia, wrażliwość estetyczną – sugerują pośrednio, że rozprawia się o rzeczach ważnych. Nawet pobieżny i niekompletny przegląd prowadzi do oczywistego stwierdzenia, że, opisując kondycję i sytuację literatury dnia dzisiejszego, trudno byłoby przemilczeć dzieło Zbigniewa Herberta, przejść nad nim do porządku dziennego, czyli zamknąć kolejny rozdział historii literatury.

*

Potrzebom serca, poszukiwaniom umysłu, wzruszeniu pięknem towarzyszą dyktat mody i gwar tak zwanych kół opiniotwórczych. Usiłowania badaczy, krytyków, edytorów, organizatorów wydarzeń kulturalnych i ludzi dobrej woli zafascynowanych pisarstwem Zbigniewa Herberta są chwalebne, jednakże pasja wyjaśniania sensów i potrzeba przybliżania dzieła graniczą z działaniami nieautentycznymi, z niesłabnącą koniunkturą na Herberta. Nie sposób nie zauważyć znakomitych edycji „Zeszytów Literackich”, Wydawnictwa a5, Wydawnictwa Dolnośląskiego. Przypomniane zostały utwory cieszące się wielkim wzięciem czytelniczym, znacznie poszerzył się kanon Herbertowski. Poprzez uszeregowanie w osobnych tomach inną jakość zyskały pisma rozproszone, zaś wydobyte z archiwum Zbigniewa Herberta

teksty potwierdzają siłę jego wszechstronnego talentu, poszerzają przestrzeń obcowania z niezwykle osobowością twórczą. Koniecznie należy wymienić „Bibliotekę Pana Cogito” (wydawnictwo „Gaudium”), czyli kolekcję rozpraw literaturoznawczych, wciąż dopełnianą przez kolejne książki. Przy tej okazji zauważmy pokoleniową zmianę warty, bowiem obok wypowiedzi wybitnych znawców we wskazanej serii publikowane są prace młodych, bardzo uzdolnionych badaczy z wielu ośrodków uniwersyteckich. I ten udział jest znaczny oraz znaczący. Nie chcę przez to powiedzieć, że książki o pisarstwie Herberta ogłaszane przez inne oficyny mniej się liczą. Poprzestaję oczywiście na przykładach, przemilczając z konieczności szereg cennych inicjatyw, gdyż sam rejestr zapewne zająłby kilka stron. Trudno prześlepić osiągnięcia Warszawskiego Festiwalu Poezji im. Zbigniewa Herberta, albo wyjmować wydarzenia, takie jak śmiało zakrojony projekt artystyczny „Liryczery. Herbert”, z ram Roku Herbertowskiego.

Wygląda na to, że Herbertologia stała się dziedziną wyspecjalizowaną – wymagającą odrębnego przygotowania. O Herbercie piszą literaturoznawcy, historycy sztuki, filozofowie, ale też wypowiada się, kto chce i może, bo taki jest pęd powszechny. Produkcja warunkuje nadprodukcję, sukces ciągnie za sobą przesyty. Pojawia się wiele komentarzy niekoniecznych – drugorzędnych, przyczynkarskich. Tłumne czytanie wcale nie oznacza czytania uważnego. Wiersze i eseje Zbigniewa Herberta przysypane zostały grubą warstwą objaśnień. Raz mam wrażenie, że obcuje z dobrze skomponowaną biblioteką egzegez, a innym razem nie opuszcza mnie wizja gruzowiska interpretacji. Cóż zatem z obfitością począć? Jak ten fenomen popularności przeżyć, jak uporządkować głosy krytyczne? Rzecz jasna cieszyć się należy błyskotliwością odczytań, zmianą perspektywy, nowymi metodami badawczymi. Nie zawadziłoby jednak trochę pomilczeć nad Herbertem, refleksyjnie powstrzymać się od pisania, poczekać, aż przejdzie najwyższa fala, nie występować w chórze.

*

Zmieniały się w czasie kreowane przez krytykę wizerunki. Autor *Pana Cogito* postrzegany był jako poeta kultury, artysta moralnego sprzeciwu, który piętnował zło komunizmu, pisarz historiozoficznej, egzystencjalnej i metafizycznej refleksji. Herbert to moralista broniący bezcennych racji przegranej

jednostki, ironista – rozprawiający o fałszywych wagach i miarach, jakimi ze strachu, konformizmu i bezmyślności chętnie się posługujemy. W *Epilogu burzy* – pożegnalnym tomie Zbigniewa Herberta – dobitnie zaznaczają się wątki autobiograficzne zespolone z działaniem losu i ostatecznymi przeznaczeniami. Język cierpienia brzmi tu naprawdę przejmująco. Bolesne doświadczenie ciała przełamywane jest przez lekcje dzielności. Zwykła ludzka czułość nie pozwala wzlecieć zbyt wysoko, wzbrania przed deklamowaniem ról tragicznych. Niech już raczej pojawiają się lzy marmurowych posągów. Natomiast wierność, pamięć i sumienie splatają się w tkaninę życia i nadają mu sens. A zatem dołożyć wypadnie dwie nazwy: poeta cierpienia, poeta elegijny.

Společnie wytworzone wizerunki Herberta ulegały zmianie i komplikacji. Można by wskazać w uproszczeniu i skrócie dwie równoległe, wzajemnie sprzeczne legendy. Pierwsza mówiła o sumieniu opozycji polskiej i rzeczniku postawy wyprostowanej, druga – o weredycznym szaleńcu, który uparł się wytykać pisarzom błędy stalinowskiej młodości, tropić i piętnować neokomunizm po Wielkiej Zmianie, krzewić zachowania etosowe, nauczać patriotyzmu, kiedy przeminęła moda na tę wartość. W felietonach Zbigniew Herbert (dość niespodziewanie) znalazł się blisko trywialnej materii życia. W lirykach kultywował zdystansowaną, podszytą ironicznym smutkiem, ponadczasową mądrość, w paszkwilowej publicystyce nie tłumił emocji, nie osłabiał wymowy gniewnych napaści. Refleksje dla koneserów i apele do ludu wypowiedane były w dwóch różnych stylach, a i rozdwojona publiczność wielbiła poetę (lub za nim nie przepadała) za zupełnie przeciwstawne walory jego pisarstwa.

*

W literaturze polskiej więcej było głosów podziwu i aprobaty, niż krytyki. Przypomnijmy certyfikat pisarza niezłomnego i człowieka unikającego kompromisów z absurdalną rzeczywistością PRL-u, jaki wystawił Herbertowi Leopold Tyrmand w *Dzienniku 1954*. Wysokie posłannictwo poezji, co często zdarza się twórcom traktującym na serio swoje zajęcie, w zachowaniach prywatnych przełamywane bywa przez poczucie humoru, mistyfikacje, błazenady. Serię zabawnych anegdot wziętych z dziejów dziwnej przyjaźni z Herbertem, zaprezentował Jan Józef Szczepański w opowiadaniu *Poeta w akcji* – z uroczych i rzewnych *Historyjek* (1990).

„Rewers moralistyki” autor określił wyszukany celny mianem: „spontaniczne fugi humoru”.

Może nie warto zatrzymywać się przy prowokacyjnym odrzuceniu Herberta, ale, pomimo wątpliwości, dajmy jeden przykład. Umieszczona przy nazwisku poety inwektywa, wypowiedziana w zdaniu wtrąconym, nawiasowym, odnosi się w ogóle do uznanych twórców należących do starszych pokoleń. Miłosz Biedrzycki, pozwalając sobie na skalkulowany skandal (mam na myśli wiersz o incipicie *życie, epopeja rozkładu ciała!*) nie wymyślił niczego nowego. Zrobić miejsce w kulturze dla siebie – przecież owa taktyka ciągle się powtarza. Gombrowicz dawał młodym znamienne radę: „Chłopcy, zabijcie Borgesa”. Za zuchwalstwo należy się premia. A swoją drogą, jak przyjemnie i pięknie jest (teoretycznie) protestować przeciwko oddalonemu jeszcze wiekowi dojrzałemu, wiekowi degradacji ciała – kiedy jeszcze nic nie boli, w młodości, która zresztą mija.

Spektakularny spór Herberta z Miłoszem z tych rozważań wyłączam, gdyż został parokrotnie opisany. Zwykle polscy poeci prowadzili ze Zbigniewem Herbertem czuły dialog. Dedykacjami dla Herberta opatrzone zostały między innymi wiersze Julii Hartwig (*Spotkania*), Stanisława Barańczaka (*Dyletanci*), Janusza Szubera (*Symultanka*). Z Herbertem dyskutowano o etyce i estetyce, o rodzajach i granicach klasycyzmu, o postawie wyniosłej niezgody. Na przykład w *Liście do Zbigniewa Herberta* Waclawa Iwaniuka, w którym poeta z Toronto rozprawia o znaczeniu wolnego słowa i poezji wywiedzionej z cierpienia, pojawia się autoperswazyjne wezwanie dla nie pogodzonych z losem artystów: „Nasz obłęd / musi być czytelny”.

Chciałbym się zatrzymać przy poetyckich pożegnaniach Zbigniewa Herberta. Czesław Miłosz zestawiał klęskę martwego ciała, wydanego ziemi i próżność pleniącego się życia pozbawionego pamięci o rzeczach ostatecznych – z triumfującą poezją, po odejściu twórcy. Poezja bowiem: „Wędruje światem/Wiecznie jasna” (*O poezji, z powodu telefonów po śmierci Herberta*). Ryszard Krynicki subtelnie nakreślił krzyżowanie się losów, mitów, pomyłek i zapamiętanych obrazów – po śmierci Herberta, Holuba i Hrabala (*Gołębie*). Z kolei Julia Hartwig ułożyła podwójne epitafium – dla Zbigniewa Herberta i Jana Lebensteina (*Odwiedziny*). W tym przejmującym wierszu ważny jest kształt pamięci oraz dialog z umarłymi, którzy, co jest możliwe, potrafią już przeświecić tajemnicę naszego życia. Zachowane zostaną nie lata cierpień, lecz chwile beztroskiego szczęścia. Temat odwiedzania zmarłych inaczej jest tutaj rozwiązany, gdyż właściwe upamiętnienie

artystów na tym polega, by raczej nawiedzać z kwiatami nie groby, lecz dzieła poetyckie i malarskie.

Adam Zagajewski konfrontuje podróże, poszukiwania i spełnienia poetyckie z listą udręczających chorób (*Pożegnanie Zbigniewa Herberta*). Przypomina się w tym miejscu wiersz Herberta *Beethoven* z tomu *Raport z obłąkanego Miasta*, w którym katalogi dzieł i cierpień prowadzone są równolegle. Poeta ma do dyspozycji wiele materiałów: odpryski złej historii, poniżenie ciała, zapamiętane przesycone humorem jasne sceny z udziałem Herberta, impresje podróżne, wtajemniczenia w kulturę, przeżywane w wyobraźni prace twórczego umysłu. Co jednak pozostaje? Adam Zagajewski wybiera pisanie skierowane przeciwko niedogodnościom życia. Oto wyznanie zamykające odczytywany liryk: „Podziwiam królewską dumę twoich wierszy”.

Wojciech Ligęza

Krzysztof Lisowski

Znak muratora

Twórczość Zbigniewa Herberta jest ciągle w dość szerokim obiegu kulturalnym. Jego poszczególne wiersze, frazy, pojęcia, wartości stały się istotnymi składnikami języka części inteligencji polskiej. Pisarz ten nie tylko nie znalazł się w narodowym czyścicu literackim, przeznaczonym dla prawie wszystkich twórców, wielkich i małych, „słusznych” i nie-, ale choćby dzięki „Zeszytom Literackim”, publikującym niez mordowanie drobiazgi Herbertowskie z archiwum artysty, jego twórczość zdaje się żyć i rozkwitać, dopełniać się i z kwartału na kwartał, zbliżać się dopiero – bardzo niespiesznie – do wymiaru ostatecznego, zamkniętego.

Marzą mi się dzieła zebrane Herberta... choć przecież poszczególne tomy pisarza są obecne, dostępne, wznawiane (prócz edycji ukazujących się dzięki Fundacji „Zeszytów Literackich” – znakomicie edytorsko wydawane wybory liryki w Wydawnictwie a5 oraz wybory w dwujęzycznych wersjach Serii Dwujęzycznej Wydawnictwa Literackiego). Ważne że przyrasta studiów nad Herbertem, tych stricte naukowych, z pewnością mniej powszechnie znanych, i świetnych analiz przeprowadzonych przez poetów, będących

wnikliwymi interpretatorami tego potężnego dzieła: Juliana Kornhausera (*Uśmiej się Sfinksa*) i Janusza Drzewuckiego (*Akropol i cebula*).

Dla mnie Herbert był i jest bliski, atrakcyjny, kuszący ciągle do odczytywania jego różnorodnych przesłań. Jest też – przy wszystkich znanych i nieznanach „przepaściach Pana Cogito” – wzorem twórczości prawdziwej, owej – jak mówił Zygmunt Kubiak – „pracy pisarskiej na serio”, poza przemijającym zgiełkiem mód i jednodniowych karier wytwórców produktów literaturopodobnych.

Czytałem w lutym 1973 roku jako młody poeta i student pierwszego roku krakowskiej polonistyki esej pt. *Labirynt nad morzem* w pamiętnym numerze „Twórczości”, i teraz czytam na głos żonie ten sam tekst o Krecie, gdy zaczynamy przygotowywać się do zdobycia wyspy tego lata. Doznaję równie mocnego wzruszenia, choć myśląc na zimno, dostrzegam przecież nieco kompilacyjny charakter „podróżnej” eseistyki autora *Próby opisanie krajobrazu greckiego*. Nie szkodzi, że wzbogaciły się materiały źródłowe, że powiększyła się bibliografia, nie przeszkadzają nawet drobne przeoczenia czy nietrafności – istotne są: nastrój, rodzaj osobistego nieprzymuszającego do niczego przewodnictwa, walor nowości, radość samotnego wędrowania, harmonia i niekiedy ekstatyczność.

Chociaż dostępne są już przecież spore bloki korespondencji poety z przyjaciółmi i Mistrzami, poruszające są i teraz wyznania wpisane między linijki esejów, jak ta w *Labiryncie*...:

„Obcując z dziełami przeszłości, chcemy mieć pewność, że są autentyczne, że nikt ich nie poprawiał, nikt nie wtrącił się, żeby je upiększyć, udoskonalić, uczynić bardziej zrozumiałymi. Pragniemy sami, bez pomocy pośredników, przerzucić most nad przepaścią czasu, między nami a ludźmi i bogami sprzed tysiącleci. Nie będąc uduchowionym ponad miarę, poszukiwałem zawsze materialnych śladów, aby nawiązać porozumienie i przymierze. Dlatego nieodmiennie wzruszały mnie koleiny na rzymskich drogach, starte przez pielgrzymów stopnie katedry, znak muratora na kamieniu”.

Herbert wciąż pokazuje, zawsze aktualnie, jak korzystać z dziedzictwa kultury, jak stawać się i być Europejczykiem, w obszarze Śródziemnomorza, i jeszcze dalej. Jak szczęśliwie i pięknie przekazywać własny kodeks rycerski, i jego miecz: kwestię smaku. Dystynkcję, piękną ironię, rozumną niekonieczność. Jak podróżować w ogromniejącym tłumie, będąc wyraziście osobnym.

Krzysztof Lisowski

Zbigniew Herbert

WIERSZE ZEBRANE



Miły lesie i palmami i serce!

Zbigniew Herbert



Czytelnik · 1971 · Warszawa

Jacek Łukasiewicz

* * *

Po dziesięciu latach od śmierci Zbigniewa Herberta więcej wiemy o jego twórczości, przedstawia się ona pełniej. Dzięki staranności redakcji „Zeszytów Literackich” znamy coraz więcej jego ineditów poetyckich i eseistycznych. Wyszło kilka bardzo ważnych bloków jego korespondencji. Dzięki Pawłowi Kądzieli dostaliśmy zbiór publikacji prasowych Herberta: *Węzeł gordyjski*. Książka Joanny Siedleckiej *Pan od poezji*, grzesząca plotkarstwem, a przede wszystkim metodą, gdyż często nie wiadomo, co jest słowami i opiniami świadków-rozmówców, a co jest słowami i opiniami autorki – przyniosła kilka ważnych ustaleń biograficznych: przede wszystkim wiemy że Zbigniew Herbert kulejący, z nogą w gipsie nie mógł w latach okupacji brać udziału w szkoleniach i akcjach wojskowych. Pisanie więc stało się dlań kompensacją, realizowaniem danego słowa. Tom *Węzeł gordyjski* świadczy, że pisarz w pierwszej połowie lat 50. nie był tak całkiem nieobecny, gdyż opublikował wtedy w prasie kilkaset stron swych tekstów. Sprawia to, że postać i (szlachetna) twórczość Herberta staje się bardziej złożona, nie poddaje się biało-czarnemu schematowi, lubianemu przez zwalczających się polityków i ich propagandzistów. Odbiór jego utworów staje się swobodniejszy, nie przeszkadza mu personalna legenda. A przecież, pamiętajmy, że to właśnie Zbigniew Herbert głosił uniezależnienie się dzieła od biografii.

Następnie rozwinęła się bujnie, przynajmniej ilościowo, herbertologia. Wyszło wiele książek, ukazało się dużo artykułów, odbywały się konferencje i sympozja. Herberta klasyka, ironistę, moralistę – zastępuje *Herbert metafizyczny* (by wspomnieć tylko książki Tomasza Garbola, Małgorzaty Mikołajczak, ale i sporo innych publikacji). Coraz silniejsza jest tendencja, by odczytywać Herberta jako znaczącego poetę XX wieku (a nie tylko i niekoniecznie polskiego XX wieku), a więc w towarzystwie: Eliota, Rilkego, Audena, Brodskiego, Kawafisa. Wiąże się to z wzrastającą obecnością Herberta w innych kręgach językowych. (800 członków amerykańskiej The National Book Critics Circle uznało *Collected Poems 1956–1998* za jeden z pięciu najlepszych zbiorów wierszy wydanych w roku 2007 w USA.)

Nie znaczy to, by polski kontekst historyczny przestał być ważny, zarówno kontekst generacyjny, jak i rodzimej tradycji poetyckiej. To w nim

powstawały Herbertowskie persony, figury mówiącego podmiotu, pośredniczące między ideą a odbiorcą. To w nim zawiązany został ten „pokrwawiony węzeł” podmiotu z tradycją, jako dziedzictwem przekazanym przez poległych nieco starszych braci. Herbert niepewny, szukający nauki w opowieściach, które są przypowieściami. Ale nigdy do końca, zawsze mają w sobie też rzeczywistą tajemnicę epicką – są wieloznaczne. Herbert odwołujący się do Szekspira i Biblii. Herbert poeta historii, w której postaci są ważne same w sobie, a nie jako tylko maski współczesności. Także Herbert żartobliwy, ironiczny, bywa – sarkastyczny – mówi do nowych słuchaczy, innej generacji.

Herbert Europejczyk i Herbert globalny.

I, co bardzo dziś ważne – Herbert jako przewodnik po dziełach sztuki. Szlakiem własnych olśnień, sprawdzanych i gruntowanych badaniem okoliczności. Idziesz moim szlakiem – powiada widzom pięknych filmów Piotra Żałuskiego czy albumu Józefa M. Ruszara – ale masz przecież szlak własny, który sam musisz odnaleźć. Nie zgubić się w masowej turystyce, nie zginąć w telewizorze. Idź za olśnieniem, ale na nim nie poprzestawaj. Kulturę się kontempluje. Kontemplacja wyklucza poczucie wyższości, unieważnia aprioryzm. Ale kontemplacja wymaga pomocy, ugruntowania. I taki Herbert okazuje się dzisiaj bardzo potrzebny.

Jest w nim wiara w piękno, we wzruszenie estetyczne, w olśnienie, w łaskę wysokiej sztuki. W łaskę, którą można przyjąć, a można ją także zmarnować.

Jacek Łukasiewicz

Paweł Mackiewicz

Herbert – w czyścicu czy przed czyścicem?

Z reguły (by nie powiedzieć: zawsze) po śmierci autora jego twórczość trafia do literackiego czyścica. Spostrzeżenie to na tyle banalne, na ile niezbędne do opisanja obecności Herberta w polskiej literaturze ostatnich lat. Wiadomo, czym jest taki czyściciel. Początkowo nic nie zapowiada mąk czyścicowych. Wśród okolicznościowych wystąpień, dotyczących zamkniętego już dzieła, zdecydowaną większość stanowią zwykle teksty panegiryczne, retorycznie potwierdzające obecność danej twórczości w kanonie

lub zgłaszające jej aspiracje do owego kanonu. (Zupełnie to zrozumiałe, skoro w naszym kręgu kulturowym nie brakuje wyznawców poglądu, że o zmarłym i dorobku, jaki po sobie pozostawił, można wyrażać się tylko w superlatywach.) Następnie – zgodnie z obowiązującym zwyczajem niezwłocznie: po roku, dwóch – nadchodzi czas rozliczeń. Zapamiętywani bywają tylko pierwsi z tych, którzy odbrażawiają, warto więc zawczasu zadbać o to, by zostać zapamiętanym. Jeszcze całkiem niedawno Kapuścińskiemu regularnie trafiali się odbrażawiacze – czasem odbrażawiający żwawo i w imię słusznej sprawy, czasem równie skwapliwie, choć pod nie najtrafniej dobranymi hasłami. Wreszcie zapada cisza. Milczenie, przemilczanie, pozostawianie na uboczu, poza komentowanym głównym nurtem wydarzeń. Odpowiedzialnie, z przekonaniem o znaczeniu autora można mówić dopiero wówczas, kiedy ów z czyścica się wydostanie (jakkolwiek nic nie stoi na przeszkodzie, by już wcześniej starać się to znaczenie ważyć albo przewidywać).

Herbert – o dziwo – jeszcze do czyścica literackiego nie trafił, mimo że od śmierci poety minęło dziesięciolecie. Czyściec omijał go, jak podejrzewam, z kilku przyczyn. Ta najważniejsza: autor *Labiryntu nad morzem* zostawił nadzwyczaj aktywnym, troskliwym opiekunom i edytorom jego twórczości sporo materiału do uporządkowania i opublikowania. Było to prawdziwe życie po życiu artysty, przez lata ukazywały się kolejne tomy pism wcześniej rozproszonych w prasie oraz listów (np. korespondencje z Miłoszem, z „Kochanymi Zwierzątkami”, Magdaleną i Zbigniewem Czajkowskimi). Odbywały się konferencje – dwie duże i ważne zorganizowane zostały z okazji 80-lecia urodzin poety. Również w roku 2004 zainaugurowano Festiwal Poezji im. Zbigniewa Herberta. Pojawiły się zbiorowe publikacje, ściśle powiązane z wymienionymi okolicznościami – tomy wydawane staraniem lubelskiej oficyny Gaudium, wszystkie ciekawe, rozbudowane. Były wreszcie liczne opracowania autorskie – książki złożone z tekstów na bieżąco opisujących efekty pracy edytorów dorobku Herberta (Janusza Drzewuckiego *Akropol i cebula*) lub powstałe z całościowych pomysłów badawczo-popularyzatorskich (Jacka Łukasiewicza *Herbert w popularnej serii „A to Polska właśnie...”*, Józefa Marii Ruszara *Stróż brata swego. Zasada odpowiedzialności w liryce Zbigniewa Herberta*, Danuty Opackiej-Walasek *Czytając Herberta*), a także interesujące studia interpretatorskie (Małgorzaty Mikołajczak *W cieniu heksametru*). Dotąd nie zapadło milczenie po Herbercie, powracają do niego instytucje naukowe i kulturalne, powracają samodzielni

autorzy. Nadal więc nie zaistniały warunki, by poeta mógł wstąpić do literackiego czyścica. Choć – zmieniając nieco i zawężając rozumienie problemu – w pewnym sensie czyściciel dawno temu przypadł poecie w udziale, może nawet jeszcze przed jego śmiercią.

O ile dla Nowej Fali (nawet jak już nie była Nową Falą, czyli w miarę jednolitą formacją) Herbert był mocno osadzonym w tradycji punktem odniesienia – zarazem sprzymierzeńcem i adwersarzem – o ile jego twórczość na pewno stanowiła punkt odniesienia dla niektórych przynajmniej poetów z roczników Polkowskiego, o tyle dla większości urodzonych w latach 60., nie wspominając o młodszych, Herbert punktem odniesienia nie jest. Prędzej jest nim Miłosz – zwłaszcza w dziesiątej dekadzie ustawiany w pozycji „poręcznego” chłopca do bicia. To chyba także jakiś rodzaj czyścica. Problem wydaje się złożony i – gdyby wejść w szczegóły – można by napisać książkę o wpływie Herberta na „potomnych”: w szczególności wnuków i późnych wnuków. W latach 90. miejsce Herberta w artystycznej świadomości ówczesnych trzydziestolatków zajął Różewicz. Ma je do dziś, jest chętniej i dogłębniej odczytywany niż autor *Epilogu burzy*. Dzisiejsi poeci trzydziestoletni (późne roczniki 70. i wczesne 80.) weszli na scenę literacką po cichu, nie obnosząc się z niechęcią do jakiegokolwiek estetyki, korzystając za to z poetyk wypracowanych przez starszych. Inaczej niż w przypadku „bruLionu” – tu wyrazem dezaprobaty najczęściej staje się przemilczenie, już nie otwarty konflikt. Różewicz (po *Płaskorzeźbie*), Sosnowski, częściowo Sendeci – tak, Herbert – nie.

Obecność Herberta w samej literaturze (poezji) nie przypomina jego obecności we współczesnym literaturoznawstwie. Kiedy na dobre opadnie pył edytorski i konferencyjny (ten pierwszy chyba już właściwie opadł lub kończy opadać), kiedy zacznie się i minie czyściciel „akademicki” – tego przymiotnika używam bez żadnej chęci wartościowania, dopiekania akademizmowi czy Akademii – przyjdzie czas na bardziej rzetelną refleksję nad rzeczywistym wpływem Herberta na nową (co nie znaczy, że jedynie czy przede wszystkim najmłodszą) polską literaturę. Tylko w pewnym sensie, w wąskim rozumieniu tego pojęcia – Herbert przechodzi swój czyściciel literacki. Sądzę jednak, że poeta wciąż oczekuje przed właściwym literackim czyścicem.

Paweł Mackiewicz

Piotr Matywiecki

* * *

Wiersze i eseje Zbigniewa Herberta czytają nas od chwili swojego powstania, od debiutu poety do ostatnich zapisanych przez niego słów. Coś takiego było w przejrzystych zdaniach Herberta, że one przenikając umysł i wyobraźnię czytelnika świadczyły nie tylko o własnej trafności i sile, ale także odtwarzały treść i architekturę naszych osobistych i społecznych mitów, podświadomości, resentymentów, marzeń. Utwory Herberta były adresowane do naszej i n t e l i g i b i l n o ś c i. Ten techniczny termin filozofii oznacza taką właściwość świata, że on daje się łatwo i naturalnie pojmować, że jest dostosowany do naszego irracjonalnego i racjonalnego poznania. Na tym właśnie polegała intrygująca jasność i prostota Herberta: jego poezja dawała się cała i na raz przyswajać i podziwiać. A przecież była w tym „chytrość”: dzięki tej i n t e l i g i b i l n o ś c i poezja Herberta zimno, klinicystycznie i ironicznie obserwowała to, czym jesteśmy w naszych skrywanych wnętrzach! Podobało się nam, że tak łatwo i głęboko poezja może nas przeświecić. Nawet nam to pochlebiało: przecież jesteśmy przejrzyści dla poezji wielkiej! Ale musiało nas zboleć, to co w tym prześwieceniu się ujawnia...

A po śmierci Zbigniewa Herberta? – Śmierć poety zmienia i jego poezję i jego czytelników. Jakby równoległe do literaturoznawczych badań nad twórczością Herberta, badań, które siłą rzeczy obiektywizują to, co w jego poezji jest dane niejako m i m o czasu, w którym powstawała i była czytana za życia autora, dokonuje się proces tajemniczy i nieuchwytny: teraz wiersze i eseje Herberta czytają nas i już nie mogą nas do końca zrozumieć. Ciemniejemy nawzajem: przestajemy być dla tej poezji zrozumiali, ta poezja zaczyna mieć dla nas wiele tajemnic. Nie wiadomo, czy to sprawa zwyczajnej, czy kryzysowej zmiany czasu i świata. Zaczęło się inne życie tej poezji w nas. Jakie ono będzie? – Za wcześnie odpowiadać.

Chcę tylko powiedzieć coś od siebie. Coraz bardziej p o r u s z a j ą mnie takie wiersze, jak *Wrózenie*, *Wyspa*, *Poczucie tożsamości*. Banalne słowo „poruszają” dlatego akcentuję, że ono jest przeciwieństwem „przeświecenia”. Dawniej podobały mi się liryki, które rozjaśniały moje czytelnicze wnętrza, wydawały je na światło, były niczym momentowa fotografia, która natychmiast utrwała to, co odkrywa. Dzisiaj kocham te utwory, których ciche, nieefektowny impuls wprawia w ruch wszystkie żywyły materii

i wyobraźni, spostrzegawczości i ludzkiego wnętrza. Zwykle są to wiersze „beztematyczne”, zapewne niejasne dla samego autora, bo umykające jego intencjonalnemu, kompozycyjnemu nastawieniu.

Po prostu: kocham Herberta tajemniczego!

Piotr Matywiecki

Piotr Michałowski

Pan Cogito i Pan Credo

W dorobku Zbigniewa Herberta nie znajdziemy tak zatytułowanego wiersza. Z dzisiejszego punktu widzenia – szkoda, gdyż stanowić mógłby antidotum na pośmiertnie uproszczony wizerunek Poety: klasyczny i użytkowo jednoznaczny. Przed dziesięciu laty swoją recenzję ostatniego zbioru *Epilog burzy* zamknąłem taką oto prognozą recepcji:

„Czym będzie poezja Herberta? Skutecznym, choć zbudowanym z paru wątych książeczek, bastionem ocalonych wartości, etyczną arką Noego, unoszącą się w powodzi cynizmu XX wieku, czy tylko śmieszną utopią, powtarzającą zwietrzałe złudzenia filozofów i moralistów? Wzniosłe pożegnania, jakie mu zgotowali krytycy, na razie przeważnie zamykają się w funeralnej konwencji chylenia czoła. Trudno jednak przewidzieć dalsze pośmiertne losy poety, który klasykiem został za życia. Nie można wykluczyć, że *Epilog burzy* będzie prologiem długiego milczenia” (*Brulion testamentu klasyka*, „Pogranicza” 1998 nr 4).

Stało się jednak inaczej, choć trudno dociec, czy tylko skutek urzędowego ustanowienia Roku Herberta. Okazja, którą jest rocznica, sprzyja bowiem z jednej strony brązownictwu, a pomnik nie lubi porowatości i ostrych krawędzi. Zapewne odbywa się to wbrew woli swego Pierwowzoru, który mimo klasycznych upodobań, wygładzonego portretu raczej by nie zaakceptował. Z drugiej strony rocznica uaktywnia rewidentów biografii Herberta, doprowadzając do wniosków sensacyjno-demaskatorsko-plotkarskich, dalekich od interpretacji jego dzieła. Obydwa te kierunki kreacji wizerunku wynikają z binarnego wartościowania i wyboru między bielą a czernią, z pominięciem odcieni szarości, toteż wydają się równie szkodliwe. Na pewno Herbert nie powinien być czytany jako dyżurny moralista, choć na tę rolę niestety sam

zapracował swymi późnymi wierszami, którym najłatwiej dokleić jednoznaczne „upupiające” wykładnie i słuszne przesłania. Jeśli jednak taki wizerunek miałby przetrwać w historii literatury, byłby tylko jeszcze jednym w dużej kolekcji „poetów użytkowych” – choć może pierwszym niepeerelowskim w PRL i może głównym w III RP.

Tym, co warto zalecić jako antidotum na utrwalanie tak spłaszczonego portretu Herberta, mieszczącego się z łatwością na znaczku pocztowym, okolicznościowej monecie i w teście gimnazjalnym, stać się może tylko pogłębiona lektura, uwolniona od brykowych etykiet. Zwłaszcza lektura pojedynczych tekstów. Ujawni się wówczas dynamika dylematów, zmienność stanowisk, ambiwalencja ocen, ironia i tragizm wyborów. Obok wygładzonej elegijności wierszy „wygodnych” dydaktycznie do stworzenia stereotypu idealisty i moralisty, przypominać trzeba te utwory, w których toczy się nierozwiązalny dramat: historii i biografii, kultury i natury, człowieka i Boga. Tylko taki Herbert, nie zastygający w pomnikowym stereotypie, wart jest przypominania i ponawianej wciąż lektury. Poeta trudny, niesystemowy, otwarty na dialog.

Herbert jest poetą relatywizmu i ambiwalencji. Także – ironii, choć ten aspekt, bywa również wykorzystywany przez niektórych interpretatorów jak wytrych. Poeta daje trudną ofertę intelektualną, w której krzyżują się przeciwne opcje humanistyczne i której nie sposób sprowadzić ani do katechizmu, ani do manifestu nihilizmu. Może jego wielkość da się określić najlepiej poprzez negację: kim nie jest? Nie jest ani apologetą tradycji narodowej, ani piewcą wolności, honoru i wierności, ani zwolennikiem powrotu do źródeł kultury śródziemnomorskiej, ani krytykiem cywilizacji, ani euroentuzjastą, ani utopistą, ani też „uciekinierem z Utopii”, wreszcie ani moralistą, ani immoralistą – choć wszystkie te role uczestniczą w grze i nieustannej debacie, toczącej się w jego tekstach. On sam nie jest jednak ani wyznawcą, ani heretykiem, ani prawodawcą. Przede wszystkim nie jest dla tych, którzy zamiast dylematów humanizmu wolą gotowe recepty i jednoznaczne przesłania. Ci niech lepiej wybiorą Krasickiego. Nie jest dla polityków, którym cytaty służą za argument i retoryczny oręż. Nie jest wreszcie dla tych, których męczy myślenie. Pamiętajmy, że odautorskie medium, *everyman*, na którego scedował Herbert swe rozterki, nazywa się nie „Pan Credo”, lecz „Pan Cogito”. I choćby to czytelnika do czegoś zobowiązuje.

Piotr Michałowski

Krzysztof Myszkowski

Herbert – strefa mroku, strefa światła

Zbigniew Herbert (29.10.1924–28.7.1998) w minionych dziesięciu latach jak nigdy przedtem obecny był na polskim rynku wydawniczym. Ukazały się wybory jego wierszy (w tym, w Wydawnictwie a5, unikalny wybór autorski), pierwodruki (*Labirynt nad morzem* i *Król mrówek*) i wznowienia esejów, obszerne varia (*Węzeł gordyjski*), tomy korespondencji, piękny album (*Apostoł w podróży służbowej*), druki bibliofilskie (m.in. wydany przez Teatr Narodowy ostatni tekst Herberta – wprowadzenie do wybranych sześciu wierszy poetów polskich, zawierający m.in. faksymilia), a także płyta CD z nagraniem głosu już bardzo chorego Herberta czytającego wiersze swoje i ulubionych poetów. Często obecny był w pismach, głównie w „Zeszytach Literackich”, które regularnie ogłaszają teksty z jego archiwum. Dla wielu wstrząsem były ogłoszone przez „Zeszyty Historyczne” dokumenty, a także fakty przytaczane przez Joannę Siedlecką w jej kontrowersyjnym *Panu od poezji*.

Co na mnie wywarło największe wrażenie, co w tym czasie, gdy wracałem do jego książek, było i jest dla mnie u Herberta najcenniejsze? Z poezji: *Pan Cogito*, czytany po raz pierwszy w latach siedemdziesiątych, a potem w latach osiemdziesiątych, chociaż dziś brzmi już nie tak mocno jak wtedy, ze swoją niezmienną *codą*; na pewno *Raport z oblężonego Miasta* (1983), ale też już nie tak silny i jasny jak wtedy, gdy czytałem go w latach stanu wojennego; *Brewiarze* i *Piosenka z Epilogu burzy* (1998), a z esejów: fragmenty *Barbarzyńcy w ogrodzie* i *Martwej natury z wędzidłem*. To wszystko.

Był mistrzem tonów i tonacji, które prawie nie istniały w powojennej poezji polskiej, były bardzo osłabione, jakby w oddaleniu i w zaniku, a które były i są potrzebne jak powietrze.

W jego wierszach istnieją przesywające i olśniewające wersy, ale są i wersy z jakimiś niby efektownymi, ale w gruncie rzeczy pustymi dla mnie zwrotami i zakłęciami.

Z korespondencji Herberta wyróżniam dwie wymiany listów: z Henrykiem Elzenbergiem i z Czesławem Miłoszem, ale to głównie z uwagi na nich, a nie na

autora *Struny światła*, chociaż są takie miejsca, gdzie dzielnie stara się dotrzymać im kroku; pozostałe zbiory są w większości schematyczne i powierzchowne. Szczególnie bliski jest mi ten Herbert Elzenbergowski, z okresu toruńskiego, czyli z lat 1947–1949 (dom, w którym się wychowałem, stoi niedaleko domu Elzenberga). W tomie z Miłoszem, wydanym przez „Zeszyty Literackie”, z ciekawia *Aneks*, w którym Herbert wypada źle. Kilka razy uważnie czytałem te teksty i za każdym razem byłem po stronie Miłosza, po stronie jego racji i sensów. Zdziwiam, jak Herbert niekiedy chaotycznie formułuje myśli, jak łatwo wypowiada inwektywy, a także niestety mówi nieprawdę i upiera się przy niej (od Miłosza i od Julii Hartwig, która przytoczyła świadectwo bezpośrednich świadków zdarzenia Bogdany i Johna Carpenterów, wiem, że na pewno było inaczej). Strefa kontaktów z Miłoszem, to była, szczególnie w późniejszych latach, mroczna strefa Herberta; wszystko lub prawie wszystko jest zapisane i można się temu dobrze przypatrzeć.

Tak się stało, że w „Kwartalniku Artystycznym” miały miejsce premiery dwóch ważnych wierszy Herberta i Miłosza, które są ze sobą w dziwny sposób powiązane. Najpierw był w numerze 1(17) z 1998 roku wiersz Herberta pt. *Telefon* (zamieszczony w niniejszym Dodatku na stronach 7–9), który jest relacją z rozmowy poety z Thomasem Mertonem: „ślaby ze mnie/piastun nicości/nigdy w życiu/nie udało mi się/stworzyć/przyzwoitej abstrakcji” – mówi podmiot i jest to w kontekście całej twórczości Herberta bardzo ważne wyznanie. Odpowiedzią Miłosza jest opublikowany w herbertowskim numerze „Kwartalnika” 2(22) z 1999 roku piękny wiersz pt. *O poezji, z powodu telefonów po śmierci Herberta* – pean na cześć poezji.

„Cały jestem z ciemnej materii, z krótkimi, jasnymi przebłyskami w mózgu” – napisał w 1990 roku w liście do Stanisława Barańczaka. Z jego dzieła zostały doskonale i piękne fragmenty i ułamki i dobrze, bo swoją doskonałość i piękno zawdzięczają właśnie temu, że są fragmentami i ułomkami.

Przesłaniem Herberta dla współczesnych poetów polskich są moim zdaniem: *Do Ryszarda Krynickiego – list*, *Pocztówka do Adama Zagajewskiego*, *Potęga smaku* oraz jednak *Przesłanie Pana Cogito*, a także *Brewiarze*. Czy to dużo, czy mało? – nie wiem, ale tyle powinno wystarczyć.

Krzysztof Myszkowski

Anna Nasiłowska

Herbert po latach

Mam bardzo osobisty stosunek do twórczości Zbigniewa Herberta, choć to historia sięgająca poza ostatnich dziesięć lat. O poezji Herberta pisałam pracę magisterską. Przygotowywałam się do tego przez cały 1981 rok, choć prawdę mówiąc trudno było się skupić, bo był to bardzo niespokojny czas. Cała Polska nieustannie debatowała wtedy na temat możliwości pogodzenia ustroju PRL z demokracją ograniczoną do związków zawodowych i samorządów. Także na uniwersytecie odbywały się zebrania i narady, które w listopadzie i grudniu osiągnęły stan permanentny, przemieniając się w strajk studencki, podjęty z dość nieokreślonymi postulatami a właściwie w desperacji i oczekiwaniu, że coś się niebawem musi rozstrzygnąć. Zbigniew Herbert przybył wtedy osobiście na warszawską polonistykę, co było wydarzeniem nie lada. Rok wcześniej usiłowałam załatwić zgodę na zaproszenie Stanisława Barańczaka z odczytem o angielskiej poezji metafizycznej, oparło się to o jakieś uniwersyteckie „czynniki partyjne” i wreszcie jego przybycie odwołano. Tym razem nikt o zgodę już nie pytał i Herbert przybył z ciastem i dobrym słowem. Temat pracy magisterskiej wybrałam jednak wcześniej – i wiem, co mną kierowało: przede wszystkim chciałam pisać o poecie głęboko osadzonym w kulturze europejskiej a przy tym – nowoczesnym. Chodziło o to, aby znaleźć odtrutkę, odskocznnię i duchowo zanurzyć się w kulturze Zachodu. Demokratyczne marzenia z 1981 roku obejmowały przecież powrót do Europy, czyli do tradycji łacińskiej i myślenia o prawach człowieka i obywatela.

Kiedy wybuchł stan wojenny, nadałam swojej pracy ostateczny kształt i obroniłam ją w lutym 1982 roku. Z poezji Herberta wydobyłam na pierwszy plan polemikę z historią w imię etyki. Podobny kierunek interpretacji można spotkać w eseju Michnika *Potęga smaku* ze znamienym dopiskiem autora „pisałem w więzieniu mokotowskim, listopad 1983–kwiecień 1984”. Takie czytanie Herberta było absolutnie zgodne z duchem czasu. Na początku lat osiemdziesiątych, po stanie wojennym, w atmosferze prawie kompletnej beznadziejności, całkowitej stagnacji i braku jakiegokolwiek politycznej perspektywy zmian, etyczne motywacje utrzymywania społecznego sprzeciwu

były jedynymi, na które można się było powołać. Inne w zasadzie nie istniały, wszystkie nadzieje polityczne na ułożenie pokojowych stosunków między „zdolną do samoograniczenia rewolucją demokratyczną” a partyjną władzą utrzymującą się z woli ZSRR poniosły klęskę i nie było widać żadnej perspektywy. Była to zresztą pewna całość etycznego myślenia, w której poezja Herberta stanowiła jeden z wielu elementów. Myśl społeczna Jana Pawła II, *Etyka Solidarności* Tischnera także miały dominantę etyczną; poezja Herberta wyróżniała się tu rysem sceptycyzmu i racjonalności, była po europejsku indywidualistyczna.

To polityczne użycie, choć całkowicie zrozumiałe, szlachetne i zaszczytne, skończyło się jednak niejednym nadużyciem. Najpierw robiono z Herberta świętka, usiłując dołączyć do odczytania etycznego wzorowy, hagiograficzny życiorys, potem – zaczęto dostrzegać rysy. Etyczny ideał okresu pierwszej Solidarności i początków stanu wojennego nie mógł wystarczać, gdy potrzebna była przede wszystkim myśl polityczna i konkretne propozycje możliwych kompromisów, a wreszcie – już po 1989 roku poezja Herberta stała się wyraźnie argumentem po jednej ze stron żarliwego sporu, który w zasadzie trwa do dziś. Pisałam o tym procesie przesuwania się znaczeń i walki na interpretacje wielokrotnie, najobszerniej w szkicu *Pan Cogito ma kłopoty* zamieszczonym w książce zbiorowej *Sporne postaci literatury współczesnej* z 1996 roku. Można by zresztą powiedzieć, że mamy do czynienia z dwoma odrębnymi liniami tej samej tradycji etycznego myślenia z lat osiemdziesiątych: z jednej strony jest idea chrześcijańskiego wybaczenia i pojednania (która stała u podstaw deklaracji Mazowieckiego o „grubej kresce”), z drugiej – żądanie prawdy, sprawiedliwości oraz „nie przebaczać zaiste nie w twojej mocy/przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świecie” z *Przesłania Pana Cogito*. Do tego sporu włączył się też sam Herbert, więc nie wydaje się, aby te napięcia, których apogeum przypada na lata dziewięćdziesiąte, można było pominąć jako nieistotną awanturę czy przygodę historyczną. Z jednej strony polityczne aktualizacje literatury mają ograniczony żywot i często powodują jej niedoczytanie, z drugiej – świadczą o tym, że literatura wchodzi w życie społeczne i potrafi dotknąć bezpośrednio materii istotnych konfliktów. Jeśli oczywiście jest to robione na pewnym poziomie i jeśli chodzi rzeczywiście o literaturę, a nie – słowne przepychanki w mediach.

Myślę, że w ostatnich dziesięciu latach zrobiono bardzo wiele, by poezja Herberta nie zastygła w pewnym kształcie interpretacyjnym. Właściwie

nigdy nie zamilkł ton filologicznej powagi, który na przykład brzmi w pozbawionej politycznych odniesień książce Andrzeja Franaszka z 1998 roku, w sięgającej w lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte interpretacji Juliana Kornhausera z *Uśmiechu Sfinksa* (2001) czy w zbiorze krytyczno-literackim Janusza Drzewuckiego *Akropol i cebula* (2004). Po śmierci Herberta pojawiły się dzieła z archiwum poety. Odbywały się też kolejne konferencje i festiwale, a ich dorobek jest tak pokaźny, że można się obawiać, czy Rok Herbertowski zdoła się mocniej zaznaczyć na tym tle. I nie kłócono się już o politykę, ale o zupełnie inne sprawy. Ogromną – choć dwuznaczną – przyjemność zrobił mi na przykład zamieszczony w tomie *Zmysł wzroku, zmysł sztuki* (pod redakcją J.M. Ruszara) atak na Herberta jako domorosłego historyka sztuki. Nie ma metody opisu i interpretacji dzieł malarskich, to amator, eklektyczny i wrażeniowy! Kompletnie się z tymi wnioskami nie zgadzam, ale niejako mimochodem dobrze to podejście pokazuje, czym literacki esej różni się od pracy naukowej, ujętej w rygorach metodologii; owe różnice powodują, że ta ostatnia ukazuje się najczęściej w nakładzie kilkuset egzemplarzy, a *Barbarzyńca w ogrodzie* czy *Martwa natura z wędzidłem* to książki wciąż fascynujące, obrazujące pewną drogę do kultury europejskiej i pokazujące, jak szukać w niej odpowiedzi na własne pytania. Literatura jest żywa, o ile zdolna jest coś poruszyć. Najgorsze, co mogłoby się zdarzyć z poezją Herberta – to poddanie jej zabiegom brązowniczym i pozostanie przy konserwacji pomnika.

Z twórczością Herberta wiodę długi osobisty spór. Nie o politykę, ta sprawa właściwie przestała mnie zajmować, odkąd uświadomiłam sobie, że trzeba porzucić etycyzm i w odniesieniu do życia zbiorowego upominać się nie o racje sumienia, ale przede wszystkim o racjonalność, rozsądek i sztukę kompromisu, konieczną w demokracji. Mój wewnętrzny dialog z Herbertem dotyczy Zachodu i Europy, miejsca „barbarzyństwa” i formy eseju. Podejmuję go za każdym razem na nowo, gdy mam okazję udać się do Francji, Włoch, czy ostatnio – Grecji. Herbert zawsze był w swoim kształtowaniu relacji podróźnych po stronie ogrodu, a nie – barbarzyństwa, którego nie opisał i nie wyraził, choć można przypuszczać, że jego pragnienie zanurzenia się w bogactwie „ogrodu kultury” było motywowane chęcią zrównoważenia doświadczeń typowych dla człowieka z tej części Europy. Nie chodzi tylko o PRL, również – o poczucie zerwania ciągłości kultury po II wojnie, widoczne w przestrzeni miast takich jak Warszawa, a także – biedę i kompleksy.

„Barbarzyństwo” i poczucie niższości Polaka na Zachodzie opisali Mrozek i – bardzo dobitnie – Wierzyński w *Czarnym polonezie*; u Herberta – tego nie ma. Tymczasem „barbarzyństwo” nie zanikło po 1989 roku, tylko wciąż zmienia formy: owe pielgrzymki rozklekotanymi autokarami w nadziei zobaczenia katedr gotyckich (choć raz w życiu!), wyjazdy „za chlebem”, ale i – coraz częstsza turystyka, podejmowana przez ludzi, którzy nie bardzo interesują się kulturą, ale chcieliby przeżyć coś wyjątkowego. Co to mogłoby być? Nie wiedzą. Moje podróżowanie, choć kulturalne, mocno naznaczone jest „barbarzyństwem”. I polityką, bo w Europie wciąż żywa jest pamięć o konfliktach. I tych dawniejszych, i dość świeżych.

Zmienia się także ogród. Jak wiadomo, pierwszy esej z *Barbarzyńcy w ogrodzie* mówi o grocie Lascaux. Przedstawia to miejsce jako zapomniany azyl, w którym przechował się ślad najdawniejszej, prehistorycznej sztuki, która pozostawia wrażenie wielkości i świadczy o poczuciu *sacrum*. Aby dotrzeć do Lascaux, trzeba było pytać w paryskim Muzeum Człowieka, na miejscu było sennie i stała jedna, niewielka budka z pamiątkami. Już to się zmieniło. Na wielkie parkingi autokary dowożą wciąż nowych turystów, którzy sprawnie, według szczegółowego harmonogramu, co kwadrans następną grupą, kierowani są do imitacji pierwotnej groty, specjalnie zbudowanej w innym miejscu. Sam zabytek zostałaby szybko zdeptany i zniszczony milionami oddechów, z których wydobywa się CO₂. Czy obcowanie z kopią byłoby dla poety tak samo inspirujące jak poczucie bliskości oryginału? Czy przesuwanie się w zwartym tłumie, jaki wypełnia wiele muzeów, daje szansę na przeżycie arcydzieła? Szkice Herberta mówią o doświadczeniu podróżnika, przypominającym to z wieku dziewiętnastego, gdy zwiedzanie było zajęciem przygotowanej do tego elity odczytanych erudyków. Masowa turystyka odmieniła miejsca i warunki obcowania ze sztuką. Ogród nabiera rysów Disneylandu.

Myślę, że osobisty dialog z dziełami Herberta toczy wiele osób, nie tylko poetów. I nie zawsze chodzi o jakieś obrazoburcze gesty ze strony młodych. To należało do specyfiki lat dziewięćdziesiątych. W 2007 roku brałam udział w pracach jury konkursu im. Szaloma Asza w Koninie; II nagrodę za opowiadanie otrzymała młoda autorka, która w rytm cytatów z *Przesłania Pana Cogito* wplotła wyznania schorowanego emeryta, który codziennie dokonuje wysiłku, by wstać, przezwyciężyć słabość i zacząć nowy dzień. Odczytanie

tekstu Herberta – wbrew ukształtowanej tradycji interpretacyjnej – wydaje się ożywcze, bo pokazuje nowe pole możliwych skojarzeń. Takie pola wciąż się otwierają.

Anna Nasiłowska

Kazimierz Nowosielski

Herbert dzisiaj czytany

W różnych czasach rozmaite mnie miejsca w poezji Herberta interesowały i angażowały. Dziś powiedziałbym, że to nade wszystko poezja obywatelska – najszlachetniejszej próby: *Pięciu*, *Powrót prokonsula*, *Tren Fortynbrasa*, *Raport z obłązonego Miasta*, *Piosenka*... Jest to obywatelskość rozumiana jako budowanie (przez sztukę i w obrębie sztuki także) przestrzeni odpowiedzialności osoby za wspólnotę (u Herberta głównie: wspólnotę narodową i cywilizacyjną) i wspólnoty – za osobę. W tej przestrzeni „dać komuś słowo” i „dać sobie słowo” – to przyjąć, że się jest i że się będzie z tego aktu rozliczanym. Wierność i zdrada wszak to dwa niezmiernie ważne w jego sztuce pojęcia. Słowu przyznaje się tu więc bardzo wysoką godność: świadka oraz depozytariusza ludzkich tęsknot i starań o to, by odnaleźć w doczesnym życiu sens głębszy i uniwersalny zarazem.

Herbert należał do nielicznych w minionym stuleciu poetów, dla których „dać słowo” (w tym: słowo wiersza) znaczyło też: uwiarygodnić je czynem pamięci i czynem krytycznego myślenia nad tym, czemu ono służy tu i teraz, w konkretnej cywilizacyjnej, ustrojowej, międzyludzkiej sytuacji. Ów czyn pamięci, który w jego poezji obejmował m.in. greckie mity, świadectwa Szekspira, Traugutta, zabitych kolegów z AK, i niekoniunkturalnego, bo nade wszystko nakierowanego na realność osoby i realność bytu, myślenia – to było to, co przeciwstawił on antropologicznemu redukcjonizmowi marksistów, i co – poprzez swoją spuściznę – przeciwstawia poznawczemu oraz aksjologicznemu relatywizmowi ich sukcesorów – dzisiejszym postmodernistom.

Kazimierz Nowosielski

Marek Skwarnicki

Traktat o nieśmiertelności

Pamięci Zbigniewa Herberta

CZEŚĆ PIERWSZA

Ostatnio śni mi się każdej nocy dzieciństwo.
Odżywają najstarsze zakamarki mózgu
do tej pory zamknięte na glucho
i pełne ciemności.
Teraz nagle Ktoś
ożywia sceny
dziecięcych wspomnień.
Ojciec z matką
przychodzą chociaż dawno umarli
Przechowani
w kryjówce pamięci.
Ojciec zawsze w wojskowym mundurze.
Matka w balowej sukni
z chryzantemą na ramieniu,
oraz złotym krzyżem zasługi
za pracę społeczną
i wiersze
o Piłsudskim.
Tańczą do samego rana,
potem dorożka czasu odwozi ich do nieba.
Bo jeżeli zachowali się w ludzkiej pamięci
to co dopiero mówić o Stwórcy.
A tydzień temu śniła mi się wojna.
Wybuchwały bomby,
konie wzdęte gazami rozkładu
godziły czterema kopytami
w niebo w płomieniach
i rzędy kominów spalonych wsi
kikuty przegrywającej wojnę ojczyzny
mijały mnie jak słupy w oknach pociągu

do konzentrazionlager,
do miejsca urodzenia Bestii
o której wspomina św. Jan w Apokalipsie.
Ostatnia szarża sennych jeźdźców
a nad ranem zwycięstwo Baranka.

Kim jesteście w snach o zbrodniach oglądanych w życiu,
ucieczkach z niewoli do niewoli,
obroncy rozumu. Czyciele piękna.

Chodzi więc o nieśmiertelność.

Tego nikt nam nie zabierze. Nawet
ludobójstwo nic nie znaczy wobec nieśmiertelności.
Ona naszą nadzieją i mocą

CZĘŚĆ DRUGA

Kiedys umierałem naprawdę.
Zobaczyłem nagle coś jakby sawannę,
na niej stada niewinnych koni pasących się blisko gajów
oliwnych. Najważniejsze, że przeżyłem brak czasu
i poczucie, że co ma czas nie istnieje.
Istnieje to co jest poza czasem
JAM JEST KTÓRYM JEST
On nie był tam obecny
ale byłem szczęśliwy, że jest
bez czasu i na zawsze.
Co za ulga gdy wiesz
że nic już się nie stanie
nie wydarzy
nie zagrozi.
Bo to lęk przed śmiercią
przed nieistnieniem
czyli brakiem jakiegokolwiek radości
tkwi w mózgu świata żyjących

CZEŚĆ TRZECIA

Nie gardźcie bogami jakichkolwiek wyznajecie.
A jak nie wyznajecie nie gardźcie tymi
co wyznają
bo spotka was kara unicestwienia.
Nieobecności jakiegokolwiek Boga
czyli jakiegokolwiek tajemnicy:
Miłości
Piękna natury
Poezji i muzyki

Pogrążenie w otchłani braku wiary w cokolwiek
jedynie w sukces i pieniądze
pozbawi was piękna
które ma każdy człowiek
a ono jest obecne zarówno w modlitwach tybetańskich mnichów
jak i w śpiewie gregoriańskim
nostalgicznych songach Boba Dylana
i w psalmach.
Dawid widział ale Dylan tęskni.
To za czym tęsknimy istnieje w naszej duszy
a dusza jest kryształem prześwieconym przez wieczność.

Cóż zrobisz człowieku bez duszy.
Będziesz jak kamień.
Ale i kamienie stworzył Bóg
Stwórca wszystkiego we wszystkim
I nie chce ani naszej ani wszystkiego zguby.

Marek Skwarnicki

Leszek Szaruga

Czytanie Herberta

Zbigniew Herbert – poeta: co to znaczy?

W kraju, w którym poezja co i rusz przekształcana bywa w polityczne czy ideologiczne narzędzie, w szczególności zaś poezja, która za swój przedmiot obiera sobie kondycję człowieka w świecie zniewolonym – a w takim właśnie świecie obraca się bohater *Pana Cogito* – straszliwie trudno traktować ją jako „tylko” poezję. Los liryki Herberta poddany jest takiemu właśnie, redukującemu ją doświadczeniu. I przyznam, że zawsze mnie bawi ciągle przywoływanie wiersza *Potęga smaku*. Cytuje się z niego kilka wersów, tych oto:

To wcale nie wymagało wielkiego charakteru
 nasza odmowa niezgoda i upór
 mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi
 lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku
 Tak smaku
 w którym są włókna duszy i chrząstki sumienia

Ale już bardzo rzadko sięga się po ciąg dalszy: „Kto wie gdyby nas lepiej i piękniej kuszone”... Właśnie. Przecież mowa nie o tym, iż jacyś tam „my” okazaliśmy się niezłomni i nieprzekupni. Owszem, można „nas” być może skusić, ale trzeba mieć czym. Nie jest więc tak, iż mamy do czynienia z manifestem niezłomności. Mamy do czynienia z wierszem, który jest pochwałą subtelnosci i wyrafinowania i wyrazem pogardy dla prostactwa.

A mnie zawsze kusiła próba rozbioru pojęcia smaku, na który składają się „włókna duszy i chrząstki sumienia”. Zastanawiałem się nad tymi włóknami i chrząstkami. Co to jest? Jak jest ten obraz zbudowany? Dlaczego dusza ma być włóknista? Jak może wyglądać chrząstka sumienia? Jak czytać ten obraz? Czy naprawdę jest tak oczywisty?

I gdy czytam pogardliwy opis „ich” retoryki – „łańcuchy tautologii parę pojęć jak cepy” – wówczas natychmiast zastanawiam się, dlaczego Pan Cogito, ten „oczywisty” bohater liryki Herberta, „uwielbiał tautologie” (*Pan Cogito i wyobraźnia*). I dlaczego, gdy mowa o wyobraźni bohatera, oczywistym ma być, że:

nie ma w niej miejsca
 na sztuczne ognie poezji

Co to znaczy? Czy to zakwestionowanie poezji? Czy dlatego Pan Cogito „obojętnie przyjmie wyrok/przyszłych badaczy litery”? I czy ta litera to „delta” z pointy wiersza *Do rzeki*:

naucz mnie rzeko uporu i trwania
abym zasłużył w ostatniej godzinie
na odpoczynek w cieniu wielkiej delty
w świętym trójkącie początku i końca

I znów: by to zrozumieć, chciałoby się domyślić chociaż, co znaczy „cień wielkiej delty”.

Podobnych wyzwania interpretacyjnych w poezji Herberta jest więcej. Sprzeczanie im do łatwych nie należy. Podobnie jak nie jest łatwo odczytywać swoistą panreligijność tej liryki, w której wierzenia i bogowie – a także wielkie księgi – z różnych przestrzeni spotykają się na równych prawach, jak choćby w wierszu *Pan Cogito obserwuje zmarłego przyjaciela*:

talerze dzwoniły
na Anioł Pański
aniołowie nie schodzili z góry

Upaniszady pocieszały

Czymże jest „roztopione niebo” z *Widokówki dla Adama Zagajewskiego*?

To oczywiście tylko pierwsze z brzegu przykłady pokazujące, iż poezja autora *Struny światła* (nawiasem mówiąc warto zwrócić uwagę na ten tytuł choćby ze względu na koncepcję strunowej struktury wszechświata, wówczas jeszcze nieznaną) do lektur łatwych nie należy i tak naprawdę wciąż czeka na wnikliwego badacza. Takiego, który by potrafił odczytać znaczenia i sensy strof zamykających wiersz *Mona Liza*:

między czarnymi jej plecami
a pierwszym drzewem mego życia

miecz leży
wytopiona przepaść

Jak to zrozumieć? Dlaczego miecz jest wytopioną przepaścią i czym owa wytopiona przepaść miałyby być? Co to za przestrzeń, która pojawia się między czarnymi plecami „niezbyt ładnej Włoszki” a pierwszym drzewem życia lirycznego podmiotu?

Cóż – jestem czytelnikiem może nie nazbyt wyrobionym, by być przekonany o tym, iż poezję Herberta rozumiem. Znam i rozumiem budzone

przez nią emocje. Ale zawsze mnie zastanawiało dlaczego w *Przesłaniu Pana Cogito*, wierszu dość często przywoływanym, „obrońcami królestwa bez kresu i miasta popiołów” są postaci literatury, a nie bohaterowie żywej historii: Gilgamesz, Hektor i Roland. Czyżby jednak od życia prawdziwsze były „sztuczne ognie poezji”?

Oto jest pytanie.

Leszek Szaruga

Piotr Szewc

Czyste światło

Wpływ Zbigniewa Herberta na polską literaturę współczesną – zarówno przed 28 lipca 1998 roku, kiedy poeta umarł, jak i obecnie – jest przemożny. Poza mało istotnymi przejawami „zewnętrzny”, w sposób istotny, ważki, dziękować Bogu, że „nieefektowny”, oddziałuje na świadomość

drożym fan

Juliusz Słowacki

mem ulubionym poezjowi

który może zechce przetrwać

te liryczne iskrami

Wojciech Flakus

Warszawa 11. IV. 61

tych, którzy również czerpią cierpką radość z „czernienia papieru”. Są moim zdaniem analogie: czyż nie podobnie działo się i dzieje z dziełem Miłosza? Albo trzeciego z wielkiej trójki, Różewicza? Ta sytuacja krzepi. Przejawy wpływu Herberta – nie tylko poety, ale osobowości jako takiej – to zagadnienie odrębne. Może nie pora jeszcze, by je analizować. Ale nie ma wątpliwości, że to, co Herbert zostawił, opromienia nas czystym światłem.

Pierwszy raz usłyszałem o nim jesienią 1976 roku. Było to na podwórku przy ulicy Spadek w Zamościu, chodziłem tam cieszyć oczy gołębiami. Herberta i Białoszewskiego jako czołowych poetów współczesnych wymieniła Maria Sz., niewiele starsza ode mnie absolwentka lubelskiej polonistyki, córka właścicielki posesji, w latach przedwojennych koleżanki mojej babci. O tomiku Herberta mogłem tylko marzyć. Na kilka jego wierszy natrafiłem rok później w książce Stanisława Burkota *Spotkania z poezją współczesną*. Byli w niej także obecni Różewicz i Białoszewski, Szyborska, Grochowiak, Nowak, Harasymowicz, Karpowicz, Kornhauser i Kozioł. *Spotkania z poezją współczesną* odkrywały przede mną odmienność poetyk, uczyły czytać, oswajały z cudowną nieobliczalnością poezji. Egzemplarz zawieruszył się, pamięć o lekturze została.

Nie zetknąłem się osobiście z autorem *Hermesa, psa i gwiazdy*. Z szacunkiem dla Herberta i uznaniem dla jego poezji mówił Julian Strykowski. Bez cienia zdawkowości, jaka się przydarza pisarzom, raczej – ze szczerym podziwem. O tym, czym może być sztuka dedykacji, przekonałem się, gdy Julian ofiarował mi *Studium przedmiotu*, które niegdyś otrzymał od autora. Kaligraficzny wpis poety brzmi w nim następująco: „Drogiemu Panu Julianowi Strykowskiemu memu ulubionemu prozaikowi który może zechce przeczytać te liryczne jąkania Zbigniew Herbert Warszawa 11 IX 61”. Trzeba mieć nie lada poczucie humoru i dystans do siebie samego, by m.in. *Apolla i Marsjasza, Nasz strach, Tren Fortynbrasa, Z mitologii* czy tytułowe *Studium przedmiotu* nazwać „lirycznymi jąkaniami”...

Piotr Szewc

Janusz Szuber

Pułkownik Herbert. Listy

To, że już w pierwszym z nich
zwracał się do mnie, debiutanta,
per „drogi kolego”, a jeszcze bardziej

formuła: *jest pan Poetą i nic na to
nie poradzę* – było jak zamię świętego oleju
kreślone na czole kciukiem celebransa

albo jak płaskie uderzenie miecza
w prawe, a potem lewe ramię.

Świadomy obowiązków i dumny z przywilejów,
zostałem włączony do Samodzielnej
Królewskiej Brygady Huzarów Śmierci.

Komendy „bacność”, „spocznij”, „wykonać rozkaz” etc.
powtarzają się często w jego listach,
zmieniać się będą za to kolory atramentu.

Czarny. Jak krucze płatki sadzy.
Amarantowy. Zielony. Jak obrusy w tawernie.
Granatowy. Jak niebo, kiedy nocą łączy się z oceanem.

Niebieski. Czerwony. Ten ostatni jak róża
rzucona w zdeptany piasek areny.

Coraz więcej mnie w czasie przeszłym.
„Teraz”, być może, jest już kategorią
wyłącznie gramatyczną.

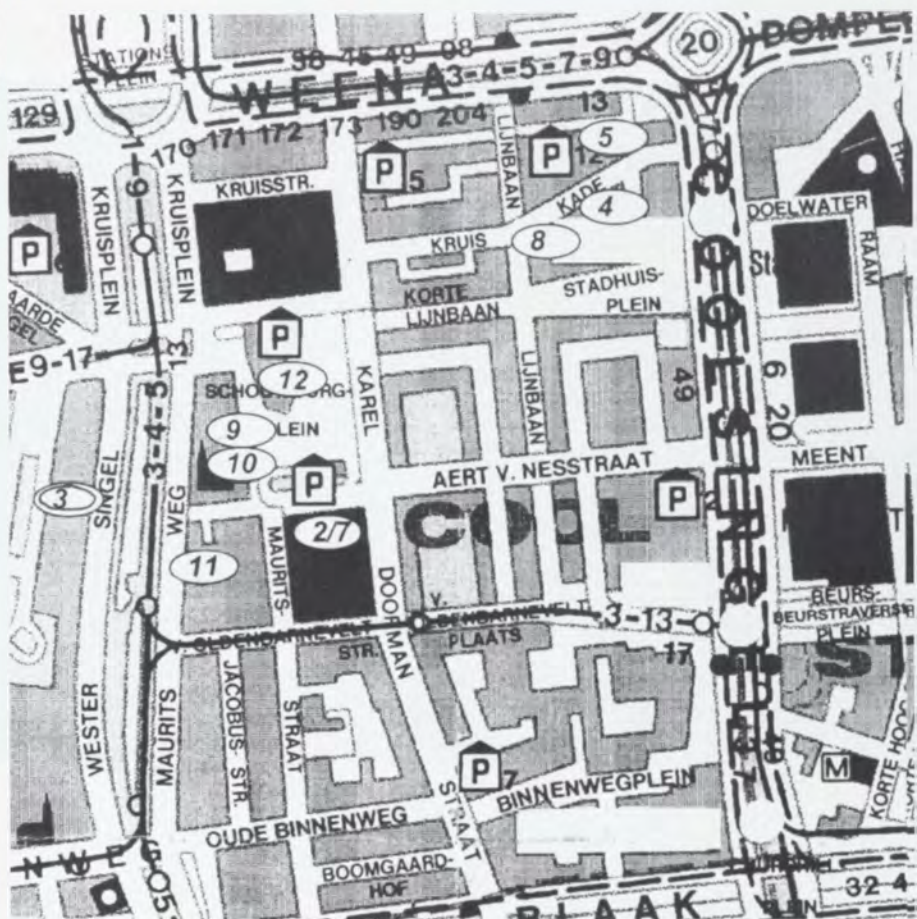
Na biurku, obok barometru,
w srebrnych ramkach, z Szu-Szu,
profilem do obiektywu i lampy błyskowej,

Pułkownik Herbert czyta coś, co mogłoby być
moim, jego kapitana, raportem.

Janusz Szuber

Zbigniew Herbert w Rotterdamie

(sobota, 25 czerwca 1988 r.)

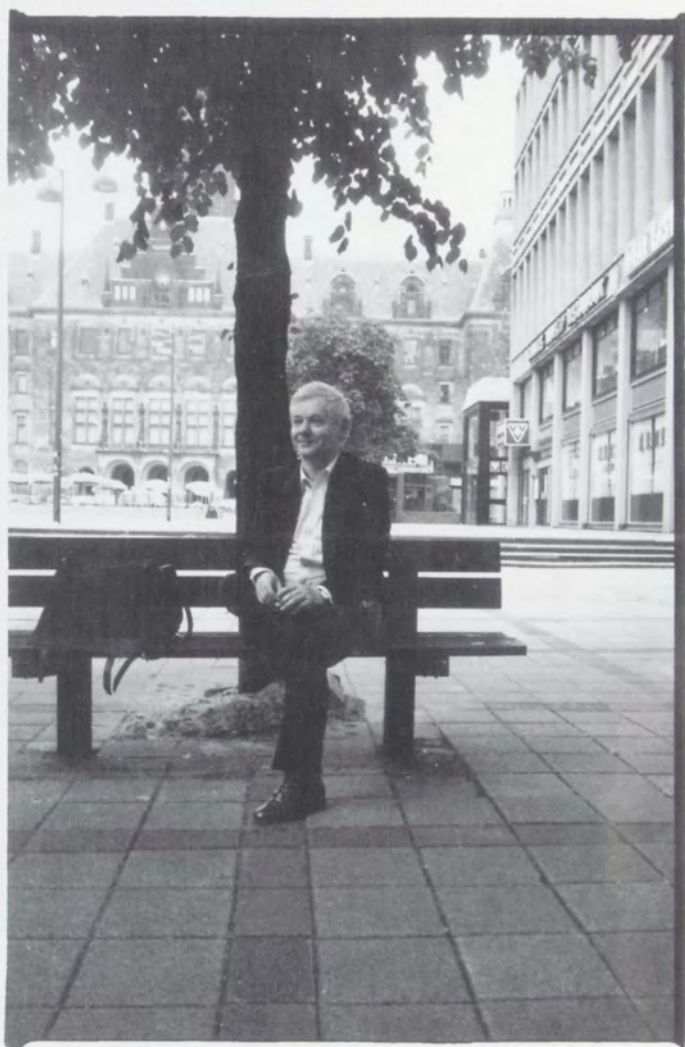


Fotografował Ryszard Krynicki





Zbigniew Herbert w rozmowie z izraelskim poetą Meirem Wieseltierem
(hotel Atlanta, Aert van Nesstraat 4)





Zbigniew Herbert przygląda się tłumowi oglądającemu w kawiarni mecz Holandia–ZSRR
(w tle ratusz)





Holandia jeszcze nie prowadzi



Rotterdam, czerwiec 1999 r.
(drzewo, pod którym siedział Zbigniew Herbert 25 czerwca 1988 r.,
w prześwitach widok z mojego Nowego Świata)

Listy Zbigniewa Herberta do Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego

Pakiet opatrzony nazwiskiem Zbigniewa Herberta zawiera kilkadziesiąt listów i kart pocztowych skierowanych do Artura Międzyrzeckiego i Julii Hartwig. Pierwszy list pochodzi z roku 1963, ostatni z 1989.

Adresy nadawcy są wciąż inne: Paryż, Berlin, Wiedeń, Amsterdam, Londyn, Kalifornia, adresy odbiorców ograniczają się do trzech: jest to stały adres warszawski i dwa adresy amerykańskie, Iowa i Stony Brook na Long Island.

Przedstawione tu listy przedziela okres pięciu lat. Oba dotyczyły momentów szczególnych. List datowany 26.06.1968 roku pisany jest w samolocie, którym Herbert leciał do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie poetów amerykańskich i zawiera wzmiankę o rewolucji 68 roku w Paryżu i Berlinie; drugi dotyczy doniosłego wydarzenia osobistego: ślubu Zbigniewa Herberta z Katarzyną Dzieduszycką, który odbył się w Paryżu w obecności świadków – Teresy Dzieduszyckiej, siostry Katarzyny i przyjaciela, Jana Lebensteina.

Wzmianki na temat pisma „Poezja” przypominają o udziale Herberta w redakcji tego pisma; osoby, którym w *post scriptum* Herbert przesyła pozdrowienia, należą również do zespołu „Poezji”. Wkrótce po wysłaniu tego listu usunięto z redakcji Artura Międzyrzeckiego – zastępcę redaktora naczelnego i Mariana Grześczaka – sekretarza redakcji, zaś Herbert i Tymoteusz Karpowicz wystąpili z zespołu na znak solidarności z usuniętymi kolegami. W ciągu lat następnych pismo zmieniło oblicze, obsadzono je niejako z urzędu i nigdy nie odzyskało znaczenia, jakie miało za czasów Herberta, Międzyrzeckiego, Karpowicza i Grześczaka.

(J.H.)

[26.06.1968]

IN FLIGHT...



JET CLIPPER



The President Special

Koloni Julio i Arturze,

prezypsa bardzo ziotak dufko mlyatam de wostadnim dnie
miedem spoz napisow: zycie - Me zayse esy pize esy ni pize mly
o los onle wiecie. Setergie.

Olas zaysmiac od spoz rodyimoz, ni uin esy, dan dominta -
let lefo ni zabitam ustroz kibudo - si osenita hiz konig. Driedu-
muly. Cencio adente hie (ozyn^x), pozem usidoliny med samy
cednie do Belia pnie lety peunie berye rownie a uinow jeli
zdyim poredimy do kisthu Mouca albo do korymimo od Wistz.
Pozz najblizye kille kuziez, nos adies jeli modypuzij (Berko 38
Bestiden strone 8.

etki chutk zindije sio sandocze u dnoze do Newer lork. Ne
dale cos ni bieskiego. Pytate stewardy co to takiego powidziato
ze "otizen" (pesnie Atlantyki, ale je jiz tiaz niezam ni mizy,
bo Amerykani to kupcy, a ioh pozycje wotuka z nad Wistly to chuz
lo o fabrie. Wic spadzaz co chuz wozyczek w parriat i poz wankir
suzozyczk frymbis, ktore w Buffallo by se czuz zlate. Tak mowit kuz Poylos
[i Stopy]

Dj mli, naji mli. Tadi kuzna tady uinow. Nowojmle Cenciole
Coctur organizuje taki cydz wiec biez fytal opier, sztanzz liryki
hadowei med fflow potroszat, a jeli tuzba to na kowu wioty
i kowu ukoz. Alci, kuz lety tuzim buz chuzal-daloko.

Tak uinowic ktam wubni doucipuz. Tuzkuzo kuz kuzminta

x) smedlam byli sietre tuzca de Dandonke. Zoi leteneci, dnoze loka i
wcale ni bleda.

[26.06.1968]

Kochani Julio i Arturze,

przepraszam bardzo że tak długo milczałem ale w ostatnim okresie miałem sporo niepokojów i zajęć. Ale zawsze czy piszę czy nie piszę myślę o Was czule wiernie i serdecznie.

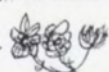
Otóż zaczynając od spraw rodzinnych, nie wiem czy Wam doniosłem – jeśli tego nie zrobiłem wstydę się bardzo – że ożeniłem się z Kasią. Dzieduszycką. Ceremonia odbyła się [w] Paryżu^{*)}, poczem wyjechaliśmy przed samą rewolucją do Berlina gdzie też pewnie będzie rewolucja a wówczas jeśli zdążymy pojedziemy do księstwa Monaco albo do Kazimierza nad Wisłą. Przez najbliższe kilka miesięcy nasz adres jest następujący I. Berlin 38 Beskidenstrasse 8.

W tej chwili znajduję się [w] samolocie w drodze do Nowego Jorku. Na dole coś niebieskiego. Pytałem stewardesę co to takiego powiedziała że: „olszen” (pewnie Atlantycki, ale ja już teraz niczemu nie wierzę, bo Amerykanie to kupcy, a jak poczują rolnika znad Wisły to chcą go ograbić. Więc sprawdzam co chwilę woreczek na piersiach i parę wianków suszonych grzybów, które w Buffalo są na cenę złota. Tak mówił komuś Przyboś i Stępień.

Oj mili, moji mili. Jadę grosza trochę uciuć. Nowojorska Centrala Poetów organizuje taki cyrk więc będę lykał ogień, sztangą liryki narodowej nad głową potrząsał, a jak trzeba to na konia siadę i krwi utoczę. Alic, krew którą toczyć bym chciał – daleko.

Jak widzicie staram się być dowcipny. Łyskacza sobie kropnąłem

^{*)} świadkami byli siostra Teresa de Dzieduszycka i Jaś Lebenstein, dużo gości i wcale nie bolało.

do Was u moim miejscu soladatan: jaki list.  A te listy,
to dla Juli
et Ameryce zastaw chuba przez lato. Biedra kani w

Belini, chyba, że białe wykoje o u ledy podobni do białej a farsy.

Tęż u telegizji samolotowej (theatre in the air) bardzo
szybko biegał między ludźmi, jednak nie miał upat do wody, przesłani
to śmiercie, ale mi to mi cieszę, a precyzyjne rozprawy

W zeszłym piątym przekładzie herbarda. Przymiotnik ze
upatkiem to jeszcze w zimie, ale nie wyraża znaczenia się kopia
nie nie stworzyć - a jest Arthur zoholichowi a drule białej w cieniu.

Czy byłoby miły bezcelowości byłoby punkt wlasny u moim
poemji (od nowego roku jest możliwe) to pozwoleliby, mi się bardziej
zainteresować o 3 organem. Będę stał się tej wrażliwości
także trochę zwolnić mi ja karsze.

A jak tam u Was słowko na przyszłość czy sfole u lewintem
A siwida moim czy kony, czy mi, wami upani woz wotowu wyobojnie.

Calisj kce Tobie o Juli

Arthurze i kitan moim

dla Daniel ambrosi woz 26. lipca

P.S. Tęż bardzo pozdrowić koleżki redaktorowi o osobliwie
koleżanki Miie Buzhivins Tynka: Maria lektoze

Calisj kce
26. lipca



do Was w mowie praojców zagadałem i jakoś lżej. [rysunek Z.H.] A te kwiaty to dla Julii.

W Ameryce zostaną chyba przez lato. Biedna Kasia w Berlinie, chyba, że się coś uspokoi a wtedy pojedzie do siostry do Paryża.

Teraz w telewizji samolotowej („Theatre in the Air”) bardzo szybko biegają młodzi ludzie, jeden z nich wpadł do wody, pewnie to śmieszne, ale mnie to nie cieszy a przeciwnie rozprasza.

W załączniku przesyłam przekłady Larbaud’a. Przysiągłbym że wysłałem to jeszcze w zimie, ale na szczęście znalazła się kopia więc nic straconego – a jeśli Artur zakwalifikuje do druku będę się cieszył.

Czy byłoby wielką bezczelnością gdybym prosił Was o numery „Poezji” (od nowego roku jeśli możliwe) co pozwoliłoby mi się bardziej zintegrować z organem. Będę starał się też więcej pisać jak tylko trochę zwolni moja karuzela.

A jak tam u Was słonko na przyzbie czy słońca w lebiodach

A świnka morska czy klasycyzuje czy raczej uprawia wyzwoloną wyobraźnię

Całuję ręce Tobie o Julio

Arturze ściskam mocno

dla Daniela czułości

wasz Zbigniew

P.S. Proszę bardzo pozdrowić kolegów redakcyjnych a osobliwie koleżankę Micię Buczkównę Tymka i Mariana Sekretarza

Całuję Was

Zbigniew

Wiedeń wtorek 26 VI 1973

Bardzo Kochani Julio i Arturze,

będę się napewno w piekle smażył że tak Was korespondencyjnie zaniedbuję, ale Bóg mi świadkiem że wciąż i wciąż wysyłam ku Wam przyjazne fluidy, a także Bóg mi świadkiem że w ciągu ostatnich 2 miesięcy byłem nieprzytomnie zalatany (seminarium na uniwersytecie wiedeńskim trzymałem, w radio i w telewizji też trzymałem, kończyłem książkę której nie skończyłem, rodzinnymi kłopotami obarczonym był, uf, uf, uf etc.)

Planowany długi urlop z Kasią nie udał się, bo wczoraj wróciliśmy z Koryntii i wczoraj również Kasia pojechała do Warszawy kupiwszy sobie przedtem buty, części do samochodu i Paris Match'a. Przyjaciele telegrafowali że z mieszkaniem są komplikacje (zapachy, podkopy partyjnych łobuzów). Ja na razie zostałem, ale ustaliliśmy „gorącą linię” telefoniczną i jak będzie trzeba to pojedą i będą strzelał, bo już nerwów na to niekończące się użeranie ni mom.

Wszelako w Bogu nadzieja że to wszystko się ułoży i wtedy zostanie na Zachodzie jeszcze 3 miesiące. Kroji się wyprawa do Grecji z Czajkowskimi – ale to na razie w chmurach i zbyt piękne żeby było prawdziwe. Obywatel Polski Ludowej nie może niczego po ludzku planować. Oj życie, życie ty cierniu głogowy.

Ale choć burza huczała wkoło nas staramy się nie tracić ducha („aż się rozpadnie w proch i pył sowiecko-krzyżacka zawierucha”). „Twierdzą nam będzie każdy próg.” Ale czy rzeczywiście każdy? I w ten sposób przechodzę do Bardzo Ważnego Pytania – Kwestii, którą Artur poruszył na końcu swego listu.

Kwestia – Kamień, Kwestia – Dźwięk, Kwestia – Dno, ale postaram się napisać szczerze i niestety subiektywnie. Otóż ja decyzji powrotu do Polski nie żałuję (a miałem w Paryżu, Artur pamięta, koszmarnie załamanie i chorowałem z tego – więc wiem). Polepszyło się w Ludowej ekonomicznie (znacznie), paszporty dają na ogół bez wielkich trudności, w PKO można trzymać dolary i wywozić je a nawet płacą procent. Sytuacja ogólna wszelako jest niejasna, mętna, głupkowata, prowincjonalna atmosfera dusi a do tego niemożność bo tzw. intelektualści jakby przestali się liczyć.

Wróciłem dlatego bo na Zachodzie mogę zarabiać i mieć tzw. spokój, ale nie mogę pisać (ściślej mogę pisać mało i nie wiadomo po co). Mimo że się stawiam (a może właśnie dlatego) mam dobrą passę, mój sezon (w piekle) wznowienia etc. Wszystko to jednak na wodzie pisane i wcale nie jestem optymistą na krótką metę. Bestia zdycha, ale nie wiem czy my ją będziemy grzebali.

Przy wszystkich gospodarczych liberalizacjach sytuacja w kulturze jest zła. Wybaczcie słownictwo z „Wolnej Europy”, ale nie znajduję innego określenia jak sowietyzacja w szkołach, środkach masowego przekazu, w prasie. Niewątpliwie cena za popuszczenie pasa. Na szczęście jest jeszcze sporo ludzi z którymi można się porozumieć a nawet politycznie porozrabiać (Antoś*), Kijkowie, Wiktor sporo dobrej nad podziw młodzieży). Więc można jakoś oddychać.

Co z tego wynika dla Was? Niewiele. Ale jak przyjedziecie do Warszawy możecie liczyć na naszą wierną, czulą i serdeczną przyjaźń. Nie tylko dlatego żeście nam bardzo pomogli, ale że zawsze będziecie nam bliscy. Bo Was Kochamy. Strasznie się wzruszyłem.

Ściskam Was Julio i Arturze bardzo gorąco

Wasi

Zbigniew
i Kasia (już tam)

P.S. Za tydzień napiszę jak się sprawy ułożyły i czy jeszcze tu [...] może już pojedą ratować tonące domostwo

Dużo czułości i najlepsze pozdrowienia od pani Janki Borowiczowej z którą tu się widziałem i kazała was gorąco uściskać. Bądźcie zdrowi i weseli

Zbig

*) na zjeździe PEN w Sztokholmie głosował Antoś jako jedyny delegat Bloku za wnioskiem domagającym się liberalizacji w Czechach (gdzie prawdziwy cmentarz)





Fot. Elżbieta Lempp

Antoni Libera

Trzy wiersze trzech mistrzów Herberta...

Zbigniew Herbert był poetą *sui generis* – wybitnie niezależnym. Tworzył, będąc „sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem”. I jest postacią odrębną w historii literatury polskiej – bez wyraźnych antenatów. I chociaż w swym „testamencie”, jakim stał się wieczór poetycki w Teatrze Narodowym w maju 1998 (na dwa miesiące przed śmiercią), wymienił kilku poetów szczególnie mu bliskich (Kochanowski, Franciszek Karpiński, Słowacki, Norwid, Baczyński i Gajcy), a nawet utwory dwóch z nich odczytał sam (*Sowińskiego w okopach Woli* i *Bema pamięci żałobny rapsod*), trudno byłoby uznać, że we własnej poezji świadomie lub nieświadomie do nich nawiązywał. Był to raczej hołd złożony autorom, których z różnych powodów podziwiał, lecz niekoniecznie z nich czerpał.

Podobnie było z poezją obcą, choć może w mniejszym stopniu. Jest rzeczą wiadomą i od lat szeroko komentowaną, kto z wybitnych poetów ostatniego stulecia cieszył się szczególnym zainteresowaniem i uznaniem Herberta. Są to więc, przede wszystkim, Rilke, Eliot, Kawafis, a także Celan i Yeats. Herbert wciąż do nich powracał i czytał ich w oryginale. Jednakże znów trudno powiedzieć, by do nich nawiązywał, przynajmniej w prosty sposób. Jeżeli już,

to raczej aluzyjnie lub w podejmowaniu zbliżonych tematów. Wpływ owych gigantów na jego własną twórczość jest wpływem raczej na myśl o powołaniu poezji i o jej roli w świecie, a nie na poetykę – na sprawy formy i stylu. Herbert chłonał ich wiersze i długo je w sobie trawił, lecz jakkolwiek głęboko zapadały mu w pamięć i były przyswajane przez kreującą świadomość, jego idiom był inny, odrębny, niepowtarzalny.

Rozmawiając z Herbertem nieraz na te tematy, pytałem go, czy nie myślał nigdy o próbie tłumaczenia: o tym, aby przynajmniej niektóre spośród tekstów ulubionych autorów przyswoić – właśnie p r z y s w o i ć – współczesnej polszczyźnie. Odpowiadał, że myślał, i to niejednokrotnie, a jeśli tego nie zrobił, to z obawy, że zanadto narzuci przekładom swój ton, że zanadto będzie w nich sobą, a nie tłumaczonym poetą. Replikowałem na to, że ongiś zawsze tak było. Że przecież zarówno Mickiewicz, jak i Kochanowski, nie tłumaczyli obcych poetów „naukowo” i wiernie. Były to raczej wariacje na temat, a nie skrupulatnie odrobione ekwiwalenty. Nie pisano nawet, że są to w ogóle przekłady. Używano formuły „z”: „z Ronsarda”, „z Schillera”, „z Horacego”. Taka *Rękawiczka* na przykład: cóż ma ona wspólnego z oryginałem Schillera poza opowiedzianą anegdotą? To klasyczny, jakże charakterystyczny wiersz Mickiewicza. Słowem: wybitnym poetom, mającym wyrazistą, własną dykcję wolno tak postępować z obcymi arcydziełami.

Herbert uśmiechał się, lecz nie był do końca przekonany. „Barańczak w ten sposób się bawi”, mówił, „ja jednak nie będę”.

Dykcja poetycka Herberta na moje pokolenie i na mnie osobiście miała ogromny wpływ. Można powiedzieć, że stanowiła jeden z głównych „podręczników” współczesnej mowy wysokiej. I studiując cenionych przez niego poetów, nieraz zadawałem sobie pytanie: jak Herbert zrobiłby to po polsku? Z czasem jego idiomem przesiąknąłem na tyle, że łapałem się na tym, iż posługuję się nim mimowolnie. Wreszcie, gdy sam zacząłem tłumaczyć, świadomie do niego nawiązywałem.

W naszych rozmowach o poezji przewinęły się wielokrotnie (może częściej niż inne?) tytuły trzech wierszy: *Itaki Kawafisa*, z której Herbert zaczerpnął pierwsze zdanie do swojej *Podróży*, *Podróży trzech króli* Eliota i *Drugiego przyjścia* Yeatsa. Słuchałem uważnie, co Herbert o nich mówił i na co kładł nacisk. Po latach, chcąc jakby spłacić dług za te cenne lekcje, postanowiłem zamknąć to coraz wyraźniej rysujące się koło, czyli przełożyć owe utwory w duchu i stylu Herberta. Oto efekt tej pracy.

*Konstandinos Kawafis**Itaka*

Jeżeli do Itaki wybierasz się w podróż,
niech będzie to podróż długa,
pełna przygód i nauk.
Nie lękaj się Cyklopów ani Lestrygonów,
nawet gniewny Posejdon niech cię nie przeraża.
Jeśli myśl twoja będzie górnoletna,
a ciało i dusza zdolne wciąż do wzruszeń
niepospolitych – nigdy ich nie spotkasz.
Jeśli nie masz ich w sobie, jesteś od nich wolny.
Jeśli twa dusza nie kryje ich na dnie,
ani Cyklopi, ani Lestrygoni,
nawet gniewny Posejdon nie wejdą ci w drogę.

Niech będzie to podróż długa.
Zawiń do wielu portów, których jeszcze nie znasz;
witaj je w letnim brzasku – z radością, szczęśliwy.
Zajrzyj też do Fenicjan,
aby kupić u nich drogocenne rzeczy:
perły i korale, jantary i heban,
oraz wonne olejki –
te wszelkie pachnidła, które odurzają –
ile tylko zapragniesz.
I odwiedź miasta egipskie,
aby uszczknąć wiedzy
od tych, co ją posiadli.

Bylebyś tylko stale pamiętał o jednym:
o swoim przeznaczeniu i celu – Itace.
Lecz nie musisz się śpieszyć.
Podróżuj długo – latami.
Lepiej byś był już stary, gdy dotrzesz do wyspy,
i na tyle zasobny w dobra tego świata,
by już nie oczekiwać od Itaki bogactw.

Itaka dała ci podróż.
 Gdyby nie ona, nie ruszyłbyś w drogę.
 Dała więc wszystko; więcej dać nie mogła.

Nie czuj się przeto zawiedziony, jeśli
 powita cię uboga.
 Zresztą gdy wrócisz, dojrzały i mądry,
 sam to zrozumiesz – co znaczy Itaka.

Konstandinos Kawafis

Thomas Stearns Eliot

Podróż trzech Króli

„Mroźna to była wyprawa;
 Najgorsza pora roku
 Na podróż, zwłaszcza tak długą:
 Drogi tonące w śniegu i lodowaty wiatr,
 Najokrutniejsza zima.”*
 Rozdrażnione wielbłądy, pokaleczone, zbolale,
 Kładły się w mokrym śniegu.
 I było nam czasem żal
 Letnich pałaców na wzgórzu, osłonecznionych tarasów,
 I jedwabistych dziewcząt roznoszających napoje.
 Poganiacze wielbłądów klęli i złorzeczyli,
 Żądali napitku, kobiet, przepadali bez wieści,
 Nocne ogniska gasły, nie było gdzie się schronić;
 A miasta były wrogie, mieszkańcy nieprzyjaźni,
 Wioski brudne i chytre, za wszystko żądano złota.
 Ciężka to była próba.

* Pierwszych pięć wersetów objętych cudzysłowem pochodzi z homilii Lancelota Andrewsa, angielskiego biskupa z Winchester z przełomu XVI i XVII wieku, wygłoszonej w 1622 roku, na cztery lata przed jego śmiercią.

Wędrowaliśmy w końcu już tylko w ciągu nocy,
Śpiąc byle gdzie i płytko,
I słysząc w sobie głos, który powtarzał w kółko:
To jest czyste szaleństwo.

Aż któregoś poranka, śniegi mając za sobą, zjechaliśmy w dolinę,
Łagodną, żyzną, wionącą zapachem wielu roślin,
Gdzie nad strumieniem stał młyn i młócił kołem ciemność,
A dalej, pod niskim niebem, wznosiły się trzy drzewa,
I stary, siwy koń biegł łąką, galopem, w dal.
Stanęliśmy przed gospodą porośłą liśćmi wina;
W otworze drzwi sześć rąk rzucało raz po raz kośćmi i zgarniało srebrniki,
Stopy zaś uderzały w puste bukłaki po winie.
Nikt jednak tam nic nie wiedział; ruszyliśmy więc dalej
I dopiero pod wieczór, prawie w ostatniej chwili,
Trafiliśmy w to miejsce – można powiedzieć – właściwe.

Pamiętam, było to dawno;
Dziś bym postąpiłbym tak samo, tylko trzeba zapytać
Trzeba zapytać
O to: czy cała ta droga nas wiodła
Do Narodzin czy Śmierci? Że były to Narodziny, to nie ulega kwestii,
Mieliśmy na to dowody. Bywałem świadkiem narodzin i byłem też
świadkiem śmierci,
I było dla mnie jasne, że są to różne rzeczy; jednak te narodziny
Były dla nas konaniem, ciężkim jak Śmierć, śmierć nasza.
Wróciliśmy do siebie, do naszych starych Królestw,
Ale w tym dawnym obrzędku jakoś nam już nieswojo,
Obco wśród tego tłumu zapatrzonego w swe bóstwa.
Rad byłbym innej śmierci.

1927

Thomas Stearns Eliot

William Butler Yeats

Drugie przyjście

Zataczający coraz szersze kręgi
Sokół przestaje słyseć sokolnika;
Nie ma już osi, wszystko się rozpada.
Nad światem chaos; mętna, krwawa kipiela,
Która zalewa falami i topi
Wszelkie misteria dawnej niewinności.
Najlepsi w nic nie wierzą, a najgorsi
Cali aż wrą od niespożytej pasji.

Czyż to nie znak jakiegoś objawienia?
Czyż nie nadchodzi czas Drugiego Przyjścia?
Drugiego Przyjścia! Ledwom to wymówił,
A oto jaka poraża mnie wizja
Wprost ze Spiritus Mundi: Piach pustynny,
A po nim wolno stawia krok za krokiem
Coś o lwim cielsku, ale z ludzką głową
I pustych ślepiach, okrutnych jak słońce,
Wśród cieni ptaków, krążących nerwowo.
Znowu ciemności; lecz teraz już wiem,
Że sen kamienny tych dwudziestu wieków
Zmieniła w koszmar dziecinna kołyska.
Czyj czas nastaje w końcu? Jakież monstrum
Brnie do Betlejem, by się tam narodzić?

William Butler Yeats

... i trzy wiersze Becketta

Było to wczesną jesienią 1992.

Przyszedłem do Herberta z popołudniową wizytą. Siedzieliśmy w pokoju obok jego pracowni w mieszkaniu przy Promenady.

Rozmawialiśmy wtedy głównie o polityce. Herbert zżymał się na to, co zaczynało się dziać. Nie mógł pogodzić się z próbą zamazywania przeszłości, z ideą grubej kreski, a raczej z jej wypaczaniem, i ze sprzeniewierzeniem celów Solidarności. W pewnym momencie, znużony walkowaniem tej sprawy i własnym rozgoryczeniem, zamknął nagle ten temat.

– Pomówmy o czymś innym – powiedział rozdrażniony. – Przestańmy się wreszcie truć. – I zaczął mnie wypytywać o znajomość z Beckettem. – Pan podobno go znał. Niech mi pan coś opowie...

Spełniłem jego prośbę, jak umiałem najlepiej. Historie biograficzne, rysy osobowości, jakieś własne wspomnienia. Jego ascetyzm, wytrwałość i bezkompromisowość. Nieudzielanie wywiadów, wycofanie się z życia. Maksymalizm moralny, poznawczy i artystyczny. Brak złudzeń religijnych, nieopisane zwątpienie, a jednocześnie współczucie, wrażliwość na innych, lojalność. Etyka bez kodeksu. Miłosierdzie bez wiary.

Na koniec opowiedziałem o jego ostatnim utworze, napisanym mniej więcej na rok przed jego śmiercią, o wierszu *no właśnie co*. Beckett napisał go w szczególnych okolicznościach: w szpitalu, po upadku, po krótkotrwałym stanie utraty przytomności, w wyniku którego miał problem z pamięcią i językiem. Nie była to afazja, niemniej coś podobnego. Przez dobrych kilka dni nie mógł odzyskać mowy. Gdy tylko doszedł do siebie, wyraził to doświadczenie w postaci owego wiersza. A raczej przetworzył je, uczynił z niego nośnik kluczowego problemu, jakim jest tajemnica pierwiastka podmiotowego: tego, że coś się jawi, że coś się komuś jawi. I czym jest to, co się jawi, i czym jest sam akt postrzegania. I związana z tym wszystkim potrzeba artykulacji. Że trzeba to jakoś nazwać, trzeba to wypowiedzieć. Choć nie wiadomo co. I nie wiadomo jak.

Jest to, inaczej mówiąc, studium neo-narodzin. Próba opisu jaźni otwartej nagle na świat, a przy tym na samą siebie; zderzonej-oto-ze-światem, skazanej-na-samą-siebie.

Po moim opowiadaniu zapadła dłuższa cisza.

– I coście tak zamilkli jak jacyś dwaj „Beckeci”? – tak pani Katarzyna prze-rwała ją po chwili.

– Mógłby pan przy okazji pokazać mi ten wiersz? – zwrócił się do mnie Herbert.

– Wyślę go panu jutro.

Dodałem jeszcze dwa. Wcześniejsze, które cenilem. Podaję je wszystkie niżej we własnym tłumaczeniu.

Samuel Beckett

ni tego, ni tego

tam i z powrotem w cieniu z wewnętrznego do zewnętrznego cienia

z nieprzeniknionego siebie do nieprzeniknionego nie-siebie
drogą ni tego, ni tego

jak między dwoma schronieniami gdzie pali się światło
lecz drzwi zamykają się cicho, gdy tylko się do nich zbliżyć
a gdy się tylko oddalić, znów cicho się uchylają

kuszony raz przez to, raz przez to, i oddalany z niczym

nie poznając drogi, zaślepiony jednym
to znowu drugim blaskiem

i tylko odgłos niesłyszalnych kroków

aż wreszcie stop, na zawsze
na zawsze poza sobą i tamtym

i wtedy nic nie słyhać

i wtedy łagodnie niegasnące światło na to nie poznane
ni tego, ni tego

niewysławialny dom

1976

downs

downs
letnie dni w downs
idą złączeni rękami
ktoś kto kocha i drugi
ten który jest kochany
i wieczorem wracają
do szałas
i noc
nie myślą
idą beztrosko
w słońcu złączeni rękami
ktoś kto kocha i drugi
ten który jest kochany
i beztrosko wracają
do szałas
i noc
idą złączeni rękami
aż skraj przepaści
i brzeg
i tam spoglądają w dół
wpatrują się w pianę
nie dalej
w pianę
w pianę i brzeg
nie mówią
idą w milczeniu
w słońcu
złączeni rękami
aż brzeg
i w milczeniu wracają
do szałas
i noc

na moście
noc zimowa
wiatr
śnieg
tam teraz patrzy w dół
wpatruje się w strumień spieniony
czarny spieniony strumień
rwący naprzód co sił

nie myśli
wpatruje się w strumień
nic nie znaczący w dole
spieniony rwący co sił
noc zimowa
wiatr
śnieg
i nic co by miało znaczenie

piana i śnieg
jaśniej
w świetle
latarni z nabrzeża
jaśniej
ledwo widnieją
piana
piana i śnieg

no właśnie co

oblęd –
oblęd że w ogóle –
że w ogóle –
no właśnie co –
oblęd już samo to –
to wszystko –
oblęd już samo to wszystko –

co dane –
obłąd to wszystko co dane –
że się widzi –
obłąd że się to wszystko widzi –
to –
no właśnie co –
no to –
to tutaj –
to wszystko tutaj –
obłąd to wszystko co dane –
że się widzi –
obłąd że się to wszystko tutaj widzi –
że w ogóle –
no właśnie co –
widzi się –
ledwo się widzi –
zdaje się że ledwo się widzi –
chce się by się zdawało że ledwo się widzi –
obłąd że w ogóle chce się by się zdawało że ledwo się widzi –
co –
no właśnie co –
i gdzie –
obłąd że w ogóle chce się by się zdawało że ledwo się widzi co gdzie –
gdzie –
no właśnie gdzie –
tam –
gdzieś tam –
gdzieś tam daleko –
w dali –
gdzieś tam daleko w dali –
jakby we mgle –
gdzieś tam daleko w dali jakby we mgle co –
co –
no właśnie co –
że się to wszystko widzi –
no to wszystko –
to wszystko tutaj –

oblęd że się w ogóle widzi co –
ledwo się widzi –
zdaje się że ledwo się widzi –
chce się by się zdawało że ledwo się widzi –
gdzieś tam daleko w dali jakby we mgle co –
oblęd że w ogóle chce się by się zdawało że ledwo się widzi
gdzieś tam daleko w dali jakby we mgle co –

co –
no właśnie co –

no właśnie – co

29.10.1988

Samuel Beckett

W kilka dni później otrzymałem od Herberta następujący list:

Szanowny i Drogi Panie Kolego,
dziękuję serdecznie za list Pana i dobre słowa.

Łaskawie przysłane mi tłumaczenia trzech wierszy Becketta wprawiły mnie w trudny do opisanego zachwyty. Brzmi to afektowanie, ale tak jest w istocie. Długo będę je trzymał w zasięgu mojej ręki. Dziękuję serdecznie i podziwiam Pana mistrzostwo.

Łączę dobre myśli
i serdecznie pozdrawiam

Zbigniew Herbert

Warszawa, 22 IX 1992

Szanowny : Drogi Tomi Kulep,

dyktuję serdecznie

30 list Pana i dobre słowa.

Terkałam przestane

mi Humayenia tożel weisz, Beckettta,

wprawy ma w trudny do opisania zachwyt.

Bzgni to apetytowa, ale tak jest w istocie. Długo

bede je trzymat w zasiepa mojej ręki. Dnie kisle-
decyne i pokriniem Pana miszostwo.

Łezy dobre umili

i serdeczne pozdrowieni

Zbigniew Herbert

Warszawa 22. III. 1992

Z papierów po moim ojcu

W jednej z teczek z papierami po moim ojcu znalazłem kopię listu wysłanego na ręce ówczesnego dziekana wydziału polonistyki UW, pani profesor Kulczyckiej-Saloni, na jej uprzednią prośbę, aby ustosunkował się on do pisma ze Szwedzkiej Akademii Nauk. Oryginał znajduje się w archiwum Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego.

Warszawa, 14 grudnia 1975 r.

Dziekan Wydziału Polonistyki
Uniwersytetu Warszawskiego
Pani prof. dr Janina Kulczycka-Saloni

Odpowiadając na pismo Szwedzkiej Akademii Nauk, zgłaszam do Nagrody Nobla kandydaturę

Zbigniewa Herberta

Twórczość poetycka Zbigniewa Herberta, nasycona głębokimi treściami humanistycznymi, odznacza się wysokimi walorami artystycznymi. Nawiązując do wielkich tradycji kultury śródziemnomorskiej łączy ona cechy poezji uniwersalnej z cechami narodowymi. Wyraża niepokoje i pragnienia naszych czasów.

prof. dr Zdzisław Libera

Antoni Libera



Krzysztof Myszkowski

Herbert w „Kwartalniku Artystycznym”

Do Zbigniewa Herberta „Kwartalnik Artystyczny” wysyłałem od początku 1995 roku, zawsze z krótkim listem informacyjnym. Otrzymałem od niego jeden list, napisany 25 grudnia 1997 roku (patrz: str. 103), a wraz z nim pięć nowych wierszy, które ogłosiliśmy w numerze 1(17)/1998 i które potem weszły do *Epilogu burzy: Strefa liryczna, Pan Cogito. Ars longa, Pan Cogito a Małe Zwierzątko –, Telefon oraz Brewiarz*; ten zestaw otwiera niniejszy Dodatek przygotowany na 10. rocznicę śmierci poety.

Zbigniew Herbert obecny był w „Kwartalniku Artystycznym” prawie od samego początku: w numerze 2/1994 ukazała się recenzja Roberta Mielhorskiego dotycząca *Martwej natury z wędzidłem*; w nr. 4/1994 zamieściliśmy życzenia na 70. rocznicę urodzin poety i przedrukowaliśmy wiersz pt. *Małe serca*; w nr. 3(11)/1996 ukazały się eseje Aleksandra Fiuta *Dwa spojrzenia na antyk: Kawafis i Herbert* oraz Andrzeja Franaszka *Udręczony pięknem świata*; w nr. 1(17)/1998 szkic o *Hermesie, psie i gwiazdach* oraz w nr. 1(37)/2003 esej pt. *Między wiernością a karą. Zbigniewa Herberta poszukiwanie prawdy egzystencji* Mirosława Dzienia; w nr. 2(46)/2005 szkic Mateusza Antoniuka pt. *Pora ufno-*

ści. O religijnym aspekcie wczesnej poezji Zbigniewa Herberta, a w nr. 2(50)/2006 szkic Cezarego Dobiesa – *Herbert w Toruniu*.

W 1. rocznicę śmierci poświęciliśmy Herbertowi numer 2(22)/1999, w którym opublikowaliśmy dwa jego nieznanne wiersze: *Henryk Bereska – tłumacz* i *Marian Ośmiałowski R.I.P.*, przypomnieliśmy wiersz pt. *Potwór Pana Cogito*, zaprezentowaliśmy rysunki z jego szkicowników podróżnych i zamieściliśmy blok *Zbigniewowi Herbertowi in memoriam*, w którym znalazły się utwory i teksty: Alaina Besançona, Mirosława Dzienia, Aleksandra Fiuta, Jerzego Gizelli, Krzysztofa Karaska, Juliana Kornhausera, Stanisława Lema, Bronisława Maja, Czesława Miłosza (pamiętny wiersz pt. *O poezji, z powodu telefonów po śmierci Herberta*, ogłoszony potem w tomie pt. *To*), Grzegorza Musiała, Krzysztofa Myszkowskiego, Leszka Szarugi, Jana Józefa Szczepańskiego, Janusza Szubera, Adriany Szymańskiej, ks. Jana Twardowskiego i Zbigniewa Żakiewicza.

W 2. rocznicę śmierci opublikowaliśmy w nr. 2(26)/2000 z archiwum poety faksymile tekstu i tekst pt. *Pana Cogito przyczynek do tragedii Mayerlingu*, a w nr. 4(40)/2003 *Podziękowanie* – tekst wygłoszony po otrzymaniu Nagrody Herdera w 1973 roku (z archiwum poety). Wiersze Herberta obecne były w ankiecie *Trzy wiersze* – jako ulubione podali je: Jan Józef Szczepański (*Do Marka Aurelego*), Gustaw Herling-Grudziński (*Potwór Pana Cogito*) i Maria Danilewicz-Zielińska (*Potęga smaku*).

Krzysztof Myszkowski

25 VII. 47

Bonow, Panie Redaktorze,

w Zelfuzem przesłał mi
do wyboru i ewentualnego wyko-
rzycenia. Proszę przez Pana
kredytorkę uregulować piśmie wybitne

Widzę, że ma
To miłośnicy, 15 redaktorze
Pan iurem piśmie. Ciesze
się na kasie - przesłany
numer „Inżynier”

Proszę przysłać

niekiedy życzenia

Świąteczne

Nowo-rodzone

Wszystko
niekiedy

Zbigniew Herbert

25.XII.97

Szanowny Panie Redaktorze,

w załączeniu przesyłam wiersze
do wyboru i ewentualnego wyko-
rzystania. Prowadzony przez Pana
kwartalnik uważam za pismo wybitne.

Nie wątpię, że mówiono
to nieraz Panu, iż redaguje
Pan świetne pismo. Cieszę
się na każdy – przesyłany
numer „Przeglądu”.

Proszę przyjąć
najlepsze życzenia

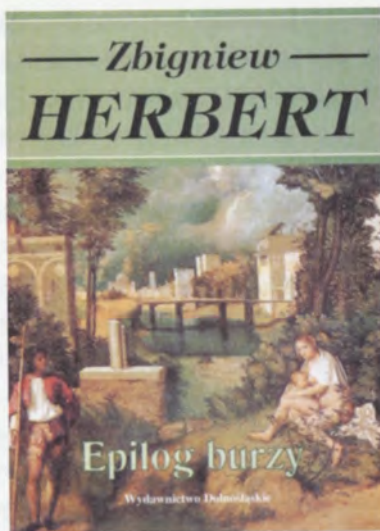
Świąteczne

i

Nowo-Roczne

oraz koleżeński
uścisk dłoni

Zbigniew Herbert



„Nie napisane wiersze” Zbigniewa Herberta

– z Aleksandrem Fiutem

o ostatnim tomiku Herberta *Epilog burzy*

rozmawiają

Mateusz Antoniuk i Tomasz Cieślak-Sokołowski

„Myślę, że jesteśmy w obliczu generalnej rewizji poglądów
na twórczość Zbigniewa Herberta”
(Aleksander Fiut)

Tomasz Cieślak-Sokołowski: Wiersz *Urwanie głowy* zaczyna się taką oto frazą:

Przed odjazdem
bałagan

papier przedmioty
w locie
(...)

nie zapłacone rachunki
nie zwrócone długi
na słowo honoru
nie napisane wiersze

Czy można by powiedzieć po lekturze ostatniego tomiku Zbigniewa Herberta *Epilog burzy*, że zostały jeszcze jakieś wiersze nie napisane, jakiś głos, który nie doczekał się koniecznego rozwinięcia? Czy ten zbiór domyka tę twórczość, czy raczej w jakiś swoisty sposób ją otwiera?

Aleksander Fiut: To, co mam do powiedzenia, nie jest zbyt oryginalne, skoro na zmianę tonu poetyckiego w tym tomiku zwracała uwagę krytyka wielokrotnie. Niemniej pytanie jest zasadnicze i dotyka kilku spraw równocześnie. Po pierwsze, myślę że ten tom skłania do przeczytania całego Herberta na nowo. Myślę, że jesteśmy w obliczu generalnej rewizji poglądów na twórczość Zbigniewa Herberta. Mam na myśli to, że właściwość, która jest największą siłą poezji Herberta, czyli ironiczny dyskurs moralisty, który wyraża najlepiej cykl *Pan Cogito*, domaga się innego usytuowania. Poza tym dyskursem można bowiem wysledzić inne dyskursy w twórczości Herberta, które, we wczesnej fazie, są jak gdyby pogłosem – często epigońskim, nie ukrywajmy – poezji jego generacji. Uderzają tutaj analogie zwłaszcza z poezją Baczyńskiego, ale także Gajcego czy Różewicza. Próby innej liryki znaleźć można już we wczesnych wierszach Herberta z lat pięćdziesiątych, które rozsiane są w czasopismach, nie zawsze były publikowane w tomach, a których spory zbiór zawiera antologia *Każdej chwili wybierać muszę*. To także przypadek debiutanckiego wiersza pt. *Złoty środek*, ogłoszonego drukiem w 1951 roku na łamach „Dziś i Jutro”. A czasem w debiucie, tak jak w zarodku, zawiera się cała późniejsza twórczość. Myślę, że ten wiersz zasługuje pod tym względem na dokładniejszą analizę (kiedyś pisał o nim Krzysztof Karasek). Ale poza tym są takie wiersze, w których Herbert próbuje innej formy liryki, dającej się umiejscowić pomiędzy tradycją awangardową, tradycją głównie czechowiczowską, do której silnie nawiązuje, a tradycją późnej poezji po 1956 roku. Krótko mówiąc, należałoby prześledzić z tego punktu widzenia całą twórczość Herberta i wyszukać takie wiersze, które nie mieszczą się we wzorze moralistycznego dyskursu. Tym bardziej, że to głównie ten właśnie dyskurs sterował percepcją poezji Herberta zwłaszcza wtedy, kiedy stał się niekwestionowanym autorytetem moralnym. Ta maska – czy gęba – przykleiła się do niego na tyle, że – walcząc z nią – równocześnie jej się poddawał. Znamienne, że po latach niedoceniaenia czy nawet przemilczenia, a później, po ogłoszeniu *Raportu z obłąkanego Miasta*, presji zbiorowego uwielbienia – dopiero w ostatnich tomach Herbert próbował tę maskę zerwać i szukał innych form wyrazu. Po drugie, Archiwum poety – stopniowo i w wyborze

publikowane dotychczas na łamach „Zeszytów Literackich”, przynosi odkrycie całego szeregu tekstów dotychczas nieznanych, które także skłaniają do rewizji naszego sposobu widzenia twórczości Herberta. Po trzecie, konieczna wydaje się próba odczytania Herberta poprzez rozmaite konfrontacje i filiacje z innymi poetami. Herbert był, jak wiadomo, poetą który zacierał ślady swoich zależności. Miałem okazję o tym pisać, szkicując związki jego poezji z poezją Kawafisa, ale mam wrażenie, że tych śladów byłoby więcej. One dotychczas nie zostały dokładniej zbadane. Ostatnia sesja [*Dialog i spór. Zbigniew Herbert a inni poeci i pisarze*, Warszawa-Obory 16–19 marca 2006 – przyp. red.] dokonała wyłomu w naszej niewiedzy, konfrontując Herberta z Rilkiem czy Celanem. Ale to są tylko przybliżenia. Tymczasem jest to niewątpliwie sfera, która domagałaby się głębszej refleksji.

Mateusz Antoniuk: Mówi Pan Profesor o wykraczaniu poza „dyskurs ironicznego moralizmu”. To niewątpliwie ważna kwestia, istotna z punktu widzenia krytycznej rewizji twórczości Herberta. Ale zastanawiam się nad czymś innym. Na ile w *Epilogu burzy* są takie fundamentalne reorientacje, dotyczące koncepcji tekstu poetyckiego, języka, tego, co się rozgrywa na poziomie elementarnej materii słownej. W naszym odczuciu jest to tom nasycony takimi „p u n k t a m i d z i w n o ś c i”. Znajdujemy tu wiersze, które wykraczają poza ustalony wcześniej „paradygmat Herberta” – nie tylko w sensie ideowym, ale także formalnym. „Dziwność” ta jest trudna do opisania – może nasza rozmowa stanie się próbą jej nazywania? I takim punktem, w którym naszym zdaniem szczególnie kondensuje się „dziwność” jest wiersz *Dwaj prorocy. Próba głosu*. Właściwie, trudność z tym wierszem jest jaka? Oczywiście znaczeniowa – co ten tekst wyraża? – ale ona się rodzi już na poziomie konstrukcji. Pojawiają się na przykład pytania o spoistość całości wyodrębnionych graficznie (w wersji tomikowej, bo w pierwodruku w „Dekadzie Literackiej” był zapis ciągły). Są też pytania o spoistość na poziomie elementarnych, konstrukcyjnych zabiegów: dlaczego jest tak, że w wierszu sąsiaduje ze sobą frazowanie płynne, potoczyste:

zaprawdę zaprawdę
nie powrócisz do uśmiechniętej twarzy jabłka
cicho płonących białych ogrodów
płynnych przestrzeni

A.F.: To jest stylizacja biblijna.

M.A.: Właśnie, by za moment zderzyć to z czymś, co jest formułowane właściwie w trybie notatki:

szamotania w garderobie
 Rapallo republiko zdrady
 śmiech sztyletów
 miasto z głową szczura

Mam tutaj skojarzenie z trybem zapisu, jaki Herbert stosował w swoich notatnikach. Notatniki Herberta to takie zeszyty, w których zapisywał, najchętniej w słupku, słowa, wyrażenia, frazy, które z różnych względów go zafrapowały – później z niektórych „kielkowały” wersy, strofy i wiersze. W Archiwum Zbigniewa Herberta w Warszawie widziałem takie notatniki, co prawda tylko wczesne, późnymi się nie zajmowałem. Wracając do *Dwóch proroków* – następuje tu zderzenie dwu koncepcji budowania tekstu. I o ile sytuacja zderzenia stylu biblijnego ze stylem celowo prymitywnym, prozaicznym w poezji Herberta zdarzała się już wcześniej, i to nierzadko – Jan Błoński wychwycił tę cechę i określił mianem „labilności stylu” – o tyle tu jest jednak coś innego: zderzanie sposobów budowania tekstu. Dlaczego?

T.C.-S.: ...tekstu niegotowego i...

M.A.: ...o, właśnie, jak tutaj funkcjonuje kategoria „gotowości-niegotowości”?

A.F.: Tak, niewątpliwie, ma Pan rację. Mnie to też zastanowiło, kiedy próbowałem przedstawić referat na temat związków Herberta z Celanem [na sesji *Dialog i spór* prof. dr hab. Aleksander Fiut wygłosił referat pt. *Herbert–Celan*, który został wydrukowany w księdze pokonferencyjnej *Dialog i spór. Zbigniew Herbert a inni poeci i eseści*, red. Józef Maria Ruszar, Lublin 2006]. Bo trudno sobie wyobrazić bardziej różnych poetów, a przecież w wywiadzie radiowym Celan stał się poetą szczególnie ważnym dla Herberta. Herbert powiedział, że jest to poezja absolutnie dla niego zrozumiała. Nie potrafię dokładniej określić – to jest pytanie do badaczy znających dobrze Celana – na ile ten wzór poezji wpłynął na Herberta, ale myślę, że w tym, co Pan mówił,

w tych wierszach (tak samo w wierszu *Do Czesława Miłosza*), ten wpływ się daje odczuć. Mam na myśli szczególnie założoną brulionowość tekstu. To nie jest oczywiście tylko wynalazek Celana, ale u niego ta brulionowość, a dodatkowo – gęstość semantyczna, która się bierze z trudnej do odczytania metafory albo zaszyfrowanej informacji, to jest coś, co Herbert wykorzystywał w swojej poezji. *Dwaj prorocy. Próba głosu* to chyba jeden z takich wierszy. Myślę, że można by ich znaleźć więcej, wystarczy wspomnieć *Tkaninę, Porę, Strefę liryczną, Szachy*. Utwory te mogą stanowić przykłady tego, o czym mówimy. To niewątpliwie jest jedna z prób Herberta wyjścia poza sposób poezjowania w jego liryce dobrze wypróbowany w stronę zupełnie inną, dotychczas nieistniejącą. Jak widać, próba odczytania tej poezji na nowo, poprzez wiersze nie mieszczące się w kanonie moralisty, może przynieść nieoczekiwane rezultaty. Byłaby to, jak sądzę, próba zburzenia dotychczasowego wizerunku – bo oto objawia się Herbert jako poeta zaskakujący, ciemny, niezrozumiały.

M.A.: Pan Profesor potwierdza, że możemy ową „brulionowość” traktować jako świadomy sposób realizacji zamiaru autorskiego. Ale musimy się zmierzyć z taką wątpliwością: na ile jest to zamiar, intencja, a na ile rezultat tego, że po prostu stary poeta, człowiek ciężko chory, coraz trudniej panujący nad chaosem kartek, o którym mówił cytaty przywołany na początku naszej rozmowy...

T.C.-S.: ...zresztą – o czym należałoby pamiętać – utwór *Dwaj prorocy. Próba głosu* należy do tych wierszy, które Barbara Toruńczyk, badająca rękopisy znajdujące się w Archiwum Zbigniewa Herberta, uznała za teksty, co do których nie ma wątpliwości czy zostały dopracowane. W notatce zamieszczonej w numerze 70. „Zeszytów Literackich” Toruńczyk dzieli wiersze z *Epilogu burzy* na „definitywne” i „niedefinitywne”. I właśnie wiersz *Dwaj prorocy. Próba głosu* jest tym utworem usytuowanym na granicy owej definitywności/niedefinitywności. Uwaga moja uzasadnia jedynie wagę stawianego tu pytania. Zatem – czy utwór *Dwaj prorocy. Próba głosu* należałoby uznać za po prostu skończony czy raczej zmagający się wewnętrznie z problemami swej „definitywności”?

A.F.: Na to nie ma dobrej odpowiedzi. Można by powiedzieć, że jeżeli poeta decyduje się w tej formie wiersz ogłosić, to bierze za to odpowiedzialność.

I tyle. Bo, jeżeli mielibyśmy do czynienia z wierszami, które po jego śmierci się rekonstruuje, to oczywiście, różne warianty tekstu mogą być przedmiotem refleksji badaczy oraz prób odpowiedzi na pytanie – „która wersja byłaby bliższa intencjom autora?”. Ale w tym przypadku poeta sygnuje utwór *Dwaj prorocy. Próba głosu* własnym nazwiskiem. Jasne, że może być tak, że to są wiersze niedopracowane. Ale przecież „brulionowość” jest cechą wielu wierszy w tym tomie...

M.A.: Tak, to uderzające.

A.F.: W związku z czym można przyjąć z dużym prawdopodobieństwem hipotezę, że to nie jest zjawisko przypadkowe, które można traktować w kategoriach, powiedzmy – niemożności kontrolowania własnych tekstów ze względu na stan zdrowia.

M.A.: Od razu, aby to zilustrować: widziałbym wiele takich punktów, gdzie można obserwować inne realizacje „brulionowości”. Na przykład w wierszu *Język snu*, gdzie obok siebie występują dwie strofoidy bardzo podobne. Rodzi się tu pytanie o gotowość/niegotowość, pozostawianie tekstu w notatce czy na pograniczu notatki. Czy to miejsce mówi o niedokończeniu procesu twórczego, niedokończeniu polegającym na tym, że poeta nie skreślił którejś z dwu wersji?

A.F.: Być może, ale może to być traktowane jako wariant...

M.A.: Jako zabieg celowy?

A.F.: Oczywiście.

M.A.: ...pokazanie wariantów, wprowadzenie wariantowości w strukturę tekstu...

A.F.: Widzi Pan, natychmiast przychodzi do głowy Różewicz. Jego teksty drukowane i rękopisy, pokazujące proces dochodzenia do tekstu. Niesłychanie interesujący zresztą. Co mnie najbardziej zdumiewa w tym wszystkim, to proces selekcji, który prowadzi od często bardzo nieudolnych nawet czasami ujęć, do czegoś, co staje się znakomite. U Różewicza jest tak, że on proponuje nieraz różne warianty tekstu, których poziom jest czasem wręcz żenujący.

Ale on taką próbę podejmuje, w banalnej formie zapisuje pewną myśl i szuka innych form wyrazu poprzez skreślenia, po których zostaje świetny wiersz. Myślę choćby o wierszu *** (*Czas na mnie...*). Ileż tam było różnych wariantów straszliwie banalnych, które Różewicz ostatecznie wyrzucił! Swoją drogą, zdumiewa tak daleko idące odsłanianie przed czytelnikiem własnych słabości oraz intymnego w końcu procesu tworzenia...

Wracając do wiersza *Język snu*: można by założyć, że Herbert zostawił te dwie strofoidy celowo. Wskazywałyby na to fakt, że ten wiersz jest jednak spointowany bardzo silnie: „czysty/język słodkiej grozy”. W tym jednym zdaniu jest zawarta wariantowość różnych ujęć snu...

M.A.: Ale kiedy pada przykład Różewicza, pojawia się jedno zastrzeżenie. Różewicz przyzwyczaił czytelników do tego, że w ten sposób posługuje się materia języka.

T.C.-S.: Forma jego wiersza – który czasami pulchnieje niemalże na oczach czytelnika...

A.F.: ...„pulchnieje” to bardzo trafne określenie.

T.C.-S.: To „pulchnienie”, które doprowadziło poezję Różewicza do momentu, w którym krytycy zarzucają jej często przegadanie, jest podstawą – jak mi się zdaje – zasadniczego wyboru Różewicza, natomiast u Herberta ten zasadniczy projekt poezji jest zgoła odmienny, jest zbudowany na czymś, co mógłbym nazwać *perspektywami*, budowaniem jakiś silnych perspektyw. To jest przede wszystkim związane z wyborem podmiotu, który często ujawnia się w formie liryki roli, maski, w liryce apostroficznej. A są to wybory raczej silnej pozycji podmiotu mówiącego, wybory poświadczające coś, co można by nazwać inscenizowaniem sytuacji lirycznej. Tymczasem w *Epilogu burzy* mamy do czynienia z powracającą na przestrzeni tomu *wariantywnością*. Podmiot staje się chwiejny, w owych wariantach nie mogący znaleźć umocowania. Dla mnie zasadniczym pytaniem po lekturze ostatniego tomiku Herberta okazuje się to – co takiego się stało, że w wypracowany model poezji wchodzi coś, co trudno oswoić w toku ponawianych lektur? Niepokoi mnie przede wszystkim owa „wariantywność”, osłabienie podmiotu, to że pojawiają się jakies – by ponownie przywołać frazę z wiersza *Dwaj prorocy* – „szamotania w garderobie”, które są ostatecznie zmaganiem

z własnym wierszem, dopracowywaniem się jego kształtu niejako na oczach czytelnika. A tego chyba wcześniej nie było?

M.A.: Zwłaszcza, że u Różewicza to „pulchnienie” – jak to określiłeś – jest łatwiej wytłumaczalne jako formalny ekwiwalent wizji świata. Wiemy, z jakiego typu diagnoz cywilizacyjnych, kulturowych wynika ta koncepcja tekstu. Tu chyba jest to mniej jasne...

A.F.: Tak, to prawda, co Panowie mówią. Usytuowanie podmiotu jest dość zasadniczą kwestią. Od takich, w których pozycja podmiotu jest starannie wypracowana – jak w *Panu Cogito*...

M.A.: ...i takie wiersze w tym tomie też są...

A.F.: ...do podmiotu chwiejnego, zamazanego. To by skłaniało do hipotezy, że te wszystkie zabiegi były świadome. Tak jak „brulionowości” tekstu, o której wcześniej mówiliśmy, tak teraz Herbert zdaje się szukać innej formy wyrażenia „ja”. Wariacyjność podmiotu staje się zatem częścią szerokiego zagadnienia, o którym tutaj rozmawiamy, to znaczy próby znalezienia innego głosu. Na różnych poziomach: na poziomie kompozycji tekstu, relacji między tekstem a własnym życiem (stąd ta poezja staje się bardzo osobista, liryczna, czego dawniej nie było – przecież Herbert bardzo powściągliwie mówił o sobie). A z drugiej strony, obserwować można swoiste granie podmiotem, pokazanie, że można nim się posługiwać na różne sposoby, demonstracja własnych ukrytych możliwości. Byłbym natomiast bardzo ostrożny w formułowaniu twierdzeń w rodzaju: Herbert był chory, nie nad wszystkim panował, tu coś mu się wymknęło, niedokładnie wybrał wiersze. Myślę, że to jest zasadniczy problem krytyki, która może dopisać różne znaczenia temu, co nieudane i uczenie zinterpretować nawet bełkot (nie mówię teraz, oczywiście, o Herbercie). W chwili, kiedy mamy do czynienia z dziełem, trzeba być wiernym faktowi, że istnieje tom wierszy podpisany ręką poety, skonstruowany, przemyślnie, nieprzypadkowo. I sądzę, że dlatego można by mówić o „nie napisanych wierszach”, bo są to jak gdyby warianty możliwości, które w Herbercie były i których nie wykorzystywał. Oczywiście, dlaczego nie wykorzystywał, jest pytaniem osobnym. Czy ze względu na to, że dopracował się pewnego języka poetyckiego, który się dobrze sprawdził? Czy decydowało o tym to, że pod koniec życia był postrzegany w roli, która mu

bardzo odpowiadała, lecząc go z urazu niedoceny? Dwa ostatnie tomiki Herberta są z tego punktu widzenia niezwykle interesujące jako próby zerwania kostiumu. *Notabene*, mnie się to bardzo kojarzy z filmem dokumentalnym, w którym Herbert prowokacyjnie błaznował: raz się przebrał za Żyda, raz ubrał papachę rosyjską. I to w chwili, kiedy był świętością narodową, kiedy był uznany za lidera moralnego, duchowego przywódcę narodu! Celowo pokazał język. Myślę, że uczynił to trochę w geście prowokacji, ale też z chęci pokazania innych możliwości, którymi dysponuje.

M.A.: Jeśli jeszcze moglibyśmy pójść tropem tej stylistycznej dziwaczności u Herberta, która – właśnie ku temu byśmy się skłaniali – jest zamierzonym gestem... Na przykład wydaje mi się, że ten wiersz *Dwaj prorocy. Próba głosu* można rozumieć jako „próbę tekstu”, a nie tekst gotowy, utwór w tym sensie niedopracowany, że chropawy, nie zgadzający się z klasyczną estetyką. Ten jakiś prowokacyjny brak elegancji stylu jest czymś zastanawiającym. Herbert, poeta, który ostatecznie, kiedy chciał, elegancką frazą władał, pisze tak:

Tezeusz kroczy przez ocean
skrwawionych kolumn liści czas odnowy
unosy w zaciśniętej pięści trofeum
oskalpowaną Minotaura głowę

Jakaś dziwna jest ta strofa, prawda? „Skrwawionych kolumn liści w czas odnowy” – dziwne to złożenie. I ten rytm, sylabizm, który się nie udaje... Nieudana jest ta strofa. Mówię oczywiście – „nieudana”, w cudzysłowie. Nie ma Pan Profesor takiego wrażenia, że to jest jakiś efekt który, no, właśnie, który co ma znaczyć? On tak nie pisał wcześniej.

A.F.: No oczywiście. Ale może to jest próba w ramach rozszerzenia skali poetyckiej... Zerwanie z maską poety-klasycysty i wprowadzenie dysonansu w obręb tego samego świata i tego samego dyskursu...

M.A.: Tak, bo rekwizytorium jest to samo.

A.F.: Rekwizytorium jest to samo, użycie jest inne. Jakieś trochę, nie wiem, turpistyczne, ekspresjonistyczne? I to jest dobry przykład na to, że Herbert zdolny jest zakwestionować nawet to, co było jego największym atutem.

M.A.: Byłaby to chyba inna tendencja niż u późnego Miłosza. Miłosz domykający swoją twórczość tomem *To, Drugą przestrzeń* nie ma chyba takiej potrzeby. On jest bardziej jakby – wyrafinowany. Daje do zrozumienia: ja i tak nie mówię o sobie wszystkiego. Ja nie potrzebuję rozbijać form...

T.C.-S.: Z drugiej strony pojawia się u późnego Miłosza, szalenie wyraźnie, problem tego, co mogę powiedzieć. Ów język przeciw rozpaczy jest na wiele sposobów tematyzowany. Wcześniej był tym takim wyraźnym opowiedzeniem się przeciw mówieniu tego, co... niepokoi...

M.A.: ...tego co poraża... i przeraża.

T.C.-S.: Po prostu „to” – sfery wyklętej z tej poezji na bardzo długo. Miłosz późny tematyzuje to zagadnienie bardzo silnie.

A.F.: Nie do końca bym się z tym zgodził. Kiedy pisałem o „ciemnych iluminacjach”, zwracałem uwagę, że ten problem istnieje u Miłosza w całej jego poezji. Ale Pan ma rację, że to się nasila, zwłaszcza w wierszach ostatnich jakby pęka w nim pewna tama. Miłosz zdaje się nie panować do końca nad przemilczaniem tego, co go przeraża. Jest to zabieg celowy, ale nie tylko. Myślę, że wynikało to także z jego rozpaczy po stracie żony. Narasta więc nasilenie bólu oraz odczucia absurdu, nicości, przeraźliwości istnienia. Sądzę, że różnica pomiędzy Herbertem i Miłoszem polegałaby głównie na tym, że autor *To* nie rozszerzał już repertuaru swej poezji o nowe dykcje, lecz doskonalił i pogłębiał już istniejące. Natomiast Herbert radykalnie chciał odświeżyć ten repertuar z powodów, o których już tutaj mówiliśmy, i na różne sposoby dokonać wyłomu w recepcji jego twórczości i w jego wizerunku. Ślady tej rewolty przeciwko widzeniu go wyłącznie w roli moralisty można znaleźć nie tylko w poezji. Myślę, że kluczowy z tego punktu widzenia jest esej *Martwa natura z wędzidłem*. Chyba po trosze widział siebie jako Torontiusa. Że to, co jest w życiu, w szaleństwie życia, w różnych cierpieniach, błazenadach czy upadkach...

M.A.: ...nadaktywności...

A.F.: ...co jest po stronie życia w jego nieograniczoności i – jakby to powiedzieć – otwarciu na eksperyment, który jest i dobry i zły, znajduje w sztuce

zaszyfrowany wyraz. Ten zaszyfrowany wyraz w poprzedniej poezji Herberta był radykalną redukcją: to, co zmysłowe, cielesne, co szalone zostało z tej poezji wyrugowane. A potem jak gdyby na to, co niespodziane, zaskakujące, co zgrzytliwe ta poezja się otworzyła. Czyli ta możliwość w nim była ukryta, i myślę, że ten tom daje temu wyraz. W tym sensie to są „nie napisane wiersze”, niewykorzystane możliwości...

M.A.: To dramatyczny wymiar przydaje zakończeniu twórczości Herberta, bo ono nie jest syntezą, punktem dojścia, ale jakimś przełomem, nie do końca zrealizowanym z braku czasu...

A.F.: Można to widzieć w ten sposób, ale można to zobaczyć inaczej, jako pozytywny wyraz tego, że poeta może się zmienić, nawet tak radykalnie. Z tego punktu widzenia Herbert pozostał do końca poetą młodym.

T.C.-S.: W tym sensie chyba najwyraźniej można to zobaczyć w czymś, co chciałbym nazwać – „dopuszczaniem niepokoju”. To, co było jedną z naczelných kategorii myślenia Herberta u progu debiutu – tak jak przynajmniej czytam wczesne listy Herberta, w których powraca określanie własnej sytuacji jako wiecznego niepokoju, niepokoju uczuć, myśli...

M.A.: Mam obowiązek wytrwać w niepokoju – taka myśl świta w tych wczesnych listach i wierszach.

T.C.-S.: Tak. To, co było jedną z naczelných kategorii, później zostaje wykluczone i powraca w tych koniecznościach zmian głosu, o których staramy się mówić.

A.F.: To znaczy: niepokój istnieje, tylko zostaje przebrany w różne kostiumy, antyczne głównie, ale nie tylko, biblijne także. Ale to jest niepokój poety-diagnosty cywilizacji czy katastrofisty.

M.A.: Zastanawiająca jest dla mnie możliwość opisywania pewnych obszarów Herbertowskiej poezji i poetyki za pomocą tej kategorii: katastrofizm. Jak wiadomo użył po raz pierwszy tego określenia w stosunku do autora *Struny światła* już Kazimierz Wyka pół wieku temu. Później to rozpoznanie bywało kwestionowane. W moim przekonaniu warto odczytywać twór-

czość Herberta niejako na linii różnych tradycji katastroficznych, zarówno poetyckich i myślowych. U bardzo wczesnego Herberta to jest często kwestia fascynacji konwencją katastroficzną jako pewną, dość spektakularną, możliwością ekspresywną. Najlepszym przykładem może tu być poemat *Czas*, niepublikowany, poeta wspomina go w korespondencji z Zawieyskim. Ten utwór potwierdza tezę o wczesnej fascynacji konwencją bardzo wyraźnie. Dość jednak szybko katastroficzna samoświadomość Herberta ulega pogłębieniu – świadectwami są tu dla mnie wiersz *Bęben* albo dramat *Jaskinia filozofów*. Ale to już temat na osobną rozmowę. Chciałbym natomiast postawić pytanie: na ile ta Herbertowska postawa diagnosty cywilizacji czy też katastrofisty poddaje się racjonalizacji, gdy myślimy o późnych wierszach? Zwłaszcza, kiedy dochodzimy do *Portretu końca wieku*, utworu, który prawie zamyka *Epilog burzy*:

Wyniszczony narkotykami szalem spalin uduszony
 spalony gwiazdą płonąca goreje Super Nowa
 trzech wieczorów – chaosu pożądania udreki
 wchodzi na trampolinę zaczyna od nowa

karzelku naszych czasów gwiazdko zetlałych wieczorów
 artysto z kosią stopą który przedrzeźniasz demiurga
 jarmarczna apokalipsa o księżę lunatyków
 skryj twarz nienawistną

póki czas jeszcze przywołaj Baranka wody oczyszczenia
 niech wszędzie gwiazda prawdziwa *Lacrimoso* Mozarta
 przywołaj gwiazdę prawdziwą krainę stulistną
 niech ziści się Epifania otwarta jest Nowa Karta

Czy możemy wobec tego wiersza wytrwać w takim całkowitym zaufaniu do formuł w rodzaju: poeta mówi o „końcu świata estetów”, ta Apokalipsa jest pewną retoryczną figurą, określającą kryzys duchowych wartości we współczesnej cywilizacji... Nie wiem, jak to precyzyjnie ująć, ale jest w tym wierszu coś takiego... „dzikiego”...

T.C.-S.: ...nerwowego...

M.A.: ...coś, co każe mi pytać, czy do końca mamy prawo racjonalizować poetycki przekaz. A może uprawniona byłaby tu interpretacja, że mamy oto przed sobą wielkiego irracjonalistę poezji polskiej II połowy XX wieku? Kogoś, kto próbuje pisać tak, jak późni romantycy, jak mistyczny Słowac-

ki? A więc jeszcze jedno zerwanie – tym razem z ustalonym wizerunkiem poety – mędrca, racjonalisty, sceptyka... Może w tym wierszu jest takie widzenie rzeczywistości jako czegoś, co się totalnie zużyło i dojrzało do tego, żeby było – finito?

A.F.: To znaczy, że zapowiada apokalipsę?

M.A.: A gdyby nawet tak? Czy to by była zupełnie niepoważna interpretacja?

A.F.: Wie Pan... powiedział Pan: czy to się da zracjonalizować? Żadnej poezji nie da się zracjonalizować do końca... Ale niech Pan zwróci uwagę, że tutaj to, co jest przeciwstawione światu degradacji, brzydoty, trywialności... „jarmarczna apokalipsa” – wszystko już właściwie zostało zużyte. „Gwiazdko zetlałych wieczorów / artysto z kozią stopą” – jakiś demoniczny element się tutaj pojawia. Baranek, wody oczyszczenia, gwiazda prawdziwa, *Lacrimoso* Mozarta, gwiazda prawdziwa – znowu się powtarza – „krajem stulistną / niech ziści się Epifania otwarta jest Nowa Karta”...

M.A.: Miałem takie doświadczenie: zapytałem o ten wiersz profesora Czaplińskiego, podczas sesji w Oborach [*Dialog i spór. Zbigniew Herbert a inni poeci i pisarze*, Warszawa-Obory 16–19 marca 2006 – przyp. red.]. Jego odpowiedź była taka: konwencja, to jest po prostu konwencja. Zapytałem: ale co za nią stoi? Profesor odpowiedział: no, nic, taki obraz. Więc Herbert uprawia pustosłowie? Stary poeta, tak jak ten autor *Czasu*, jest znowu zafascynowany możliwością przemawiania z pozycji prorockich, którą daje konwencja?

A.F.: Wie Pan, jest książka, która się właśnie ukazała – Tomasza Garboli, który przerysował sprawę, ale wskazuje na bardzo silny nurt religijny w poezji Herberta, czego nie należy lekceważyć [Tomasz Garbol, *Chrzest ziemi. Sacrum w poezji Zbigniewa Herberta*, Lublin 2006 – przyp. red.]. Co jest tutaj uderzające w odniesieniu do wiersza *Widokówka od Adama Zagajewskiego*, to że piękno estetyczne jest identyfikowane ze świętością, nawet w obrazach apokalipsy („wstąpimy osobno w roztopione niebo”), bardzo pięknych poetycko, ci, których skupia poezja, którzy są heroldami piękna, to także ci, dla których ten świat nie nadaje się do życia. Epifania jest tutaj epifanią sfery nie tylko sakralnej. To jest istotne, jak mi się wydaje. Herbert przywołuje całą

symbolikę, która odsyła do sfery, która jest poza. Można jedynie odczytywać hermeneutyczne znaki, które prowadzą do epifanii: Baranek, woda oczyszczenia, *Lacrimoso* Mozarta, kraina stulistna i Nowa Karta. A jak Nowa Karta to nowa Biblia, można powiedzieć – nowy Tekst. Gra na repertuarze tych różnych toposów jest o tyle znamienna, że – podobnie jak w poezji odnoszącej się do tematyki religijnej – Herbert balansuje tutaj pomiędzy odczuciem sakralności, wpisanym w historycznie ukształtowane formy religijności, a doświadczeniem wewnętrznym, prywatną religijnością. Gra całym kulturowym repertuarem, pokazując, że w historii istniały różne obrazy, formy przybliżenia tego, co jest po tamtej stronie, a domaga się epifanii. Zwróćcie Panowie uwagę, mówi: „przywołaj (...)/niech ziści się (...) Nowa Karta”. Tu nie ma epifanii, ona nie jest dana, to jest apel o epifanię.

M.A.: „Ziści” to jest jak: ziści się obietnica.

A.F.: Ta forma jest nieprzypadkowa. Epifaniczność jest postulatem. Proszę zwrócić uwagę, że epifania, o której pisał Miłosz nie była postulatem, była...

M.A.: ...doświadczeniem?

A.F.: ...albo jeżeli nie doświadczeniem to możliwością. A tutaj jest postulatem... To rzeczywiście bardzo ciekawy, zagadkowy wiersz. „Póki czas jeszcze”...

T.C.-S.: ...nerwowość wpisana w tę frazę... Niebywale intensywne doświadczenie zamknięte zostaje w ostatniej strofie w formie pewnych paralelizmów i wyliczeń.

A.F.: Jest tu zresztą charakterystyczne posłużenie się topiką nie tylko biblijną ale... „trzy wieczory – chaosu pożądania udręki”. Panowie wybaczą to mój defekt, ale ja mam nieustanne skojarzenia z Miłoszem – przypomina się koniec *Powolnej rzeki*. Tam jest też podobne przeciwstawienie. I z tego punktu widzenia bardzo interesująco rysuje się różnica. U Miłosza to krzepiące proctwo: „Po trzykroć muszą zwyciężyć kłamliwi,/zanim się prawda wielka nie ożywi/i staną w blasku jakiejś jednej chwili/wiosna i niebo, i morza, i ziemia”. Też jest przeciwstawienie trzykrotnego tryumfu zła – epifanii. Jednakże pewności Miłosza Herbert przeciwstawia pragnienie czy postulat.

Ja bym nie używał określenia, że to jest nerwowe, to nie jest nerwowe, lecz wyraźnie skonstruowane i oparte na ostrym przeciwstawieniu.

T.C.-S.: Ale czy od tego właśnie momentu, od słów otwierających trzecią strofę – „póki czas jeszcze” – nie można mówić o owej nerwowości?

A.F.: Nie wiem, dlaczego Pan mówi o nerwowości?

T.C.-S.: Ostatnia strofa zbudowana jest na zasadzie mnożonych paralelizmów, wyliczeń, które nie prowadzą jednak do jakiegś jasno, racjonalnie wykładalnej pointy. Cała ta strofa zamyka się w próbach mówienia o jakimś doświadczeniu, które nie wykracza w zasadzie poza początkową frazę: „póki czas jeszcze”. To, co dalej, okazuje się jedynie mnożeniem pewnych elementów.

A.F.: Ale ten wiersz zbudowany jest antytetycznie: gwiazda płonąca, Supernowa – gwiazda prawdziwa; zamiast chaosu, pożądania, udręki – jest epifania, zamiast Biblii – Nowa Karta, zamiast „szalem spalin uduszony” jest woda oczyszczenia.

M.A.: Zamysł konstrukcyjny jest czytelny.

A.F.: Dlatego autodefinicja w pierwszych dwu strofach dla mnie nie jest nerwowa, lecz oparta na gradacji składnika degradującego: człowieka i całą cywilizację. Wszystko jest właściwie odwrócone w błahość, trywialność, głupotę.

M.A.: W jakimś sensie przypomina się tu *Æconomia Divina* Miłosza, ale właśnie, ten wiersz napisany jest zupełnie inaczej. Ja bym o tyle „nerwowości” bronił...

A.F.: Ja się nie upieram...

M.A.: Natomiast różnica w ujęciu poetyckim byłaby istotna, u Herberta jest wiersz w stanie wrzenia, gotowania, wywar pojęć, obrazów, symboli. Natomiast u Miłosza to jest świetnie poprowadzony, pewny wykład, bardzo klarowny.

A.F.: Zgadzam się.

M.A.: W każdym razie, mam ochotę pokusić się o historyczno-literackie uogólnienie całej kwestii: Herbert a katastrofizm. W XX wieku – dwudziestolecie, wojna, II połowa stulecia – trwa w polskiej poezji dyskurs o cywilizacji, widzianej w kategoriach kryzysowych. To niekoniecznie musi być katastrofizm *sensu stricto*. I to jest pierwsza oczywistość. A druga, że ten dyskurs waha się między dwiema możliwościami. Upraszczam: z jednej strony chęć pójścia w symbolikę, estetykę, w pewną estetyzację przekazu, często apokaliptyczną, a z drugiej strony rozbijanie takiej estetyki. Widać to doskonale w poezji dwudziestolecia, w wojennej może jeszcze lepiej. Z jednej strony są takie odżegnywania od nazbyt wytartej konwencji – programowy artykuł Trzebińskiego, że apokalipsa dzisiejsza spełnia się bez trąb – z drugiej strony młodzi poeci warszawscy jednak sami podejmują, na bardzo różne sposoby, apokaliptyczny styl, obrazowanie, motywy. Czyli takie wchodzenie i wychodzenie z estetyki apokaliptycznej, oscylacja. Tutaj znamionym tekstem jest także Miłoszowa *Piosenka o końcu świata*. Miłosz już przed wojną znakomicie mówił o kryzysie cywilizacji i katastrofie bez pośrednictwa stylu katastroficznego, apokaliptycznego, ale, kiedy chciał, także sięgał po te możliwości ekspresji. Więc przypadek Herberta o tyle nie jest szczególny, że w jego twórczości odbywa się podobna akcja: wahanie między estetyką katastroficzną i taką dykcją, która pozwala mówić o kryzysie cywilizacji poza tą estetyką. Ale jednak trzeba stwierdzić, że w finale swej twórczości Herbert znowu skłonił się ku estetyce zagłady, katastrofy, apokalipsy. To jedna teza, a druga: no, pozostaje przy tym, że jednak związek pomiędzy tym widzeniem świata, jakie Herbert proponuje w wierszach w rodzaju *Portretu końca wieku*, a formą ekspresji nie jest dla mnie w pełni jasny. To znaczy, pozostaje ten wiersz dla mnie aporią i jakaś tajemniczość w nim jest, jak i w całym późnym Herbercie. O wiele dla mnie bardziej jasny i zrozumiały jest Różewicz, kiedy mówi o kryzysie cywilizacji.

T.C.-S.: ...który znajduje, dopracowuje się odpowiedniej formy do wypowiedzenia tejże diagnozy.

M.A.: Herbert coś sugeruje, coś otwiera, nie pozwala na obojętne minięcie tekstu, bo *Portret końca wieku* ma, moim zdaniem, wybitne walory poetyckie. Ale z drugiej strony czuje się tu trochę jak we mgle, kiedy próbuję dookreślić: dobrze, ale co to wszystko znaczy? Jak w rozmowie z profesorem Czaplińskim. Zostają bezradny.

A.F.: A czy nie jest po prostu tak, że całe to zagadnienie, o którym Pan mówił bardzo celnie, daje się zobaczyć z jeszcze innej perspektywy? To znaczy, nie tylko estetycznej, ale również religijnej, to znaczy, tam gdzie poezja staje się substytutem religii i tam gdzie nie chce stać się substytutem religii. I myślę, że z tego punktu widzenia *Piosenka o końcu świata* jest bardzo znamieną, dlatego że ona nie jest jedynie diagnozą postawioną cywilizacji. To w istocie bardzo zagadkowy wiersz, bardzo trudny do odczytania.

M.A.: Na pewno.

A.F.: Prawda? Bo co to znaczy, że „Innego końca świata nie będzie”? Co to znaczy, że tylko ogrodnik o tym wie? To jest bardzo zagadkowe, wbrew pozorom. Ale tutaj właśnie dotykamy problemu, który przewija się w całej tradycji poezji katastroficznej. Można by go sformułować tak: albo historiozoficzna pesymistyczna diagnoza cywilizacji, zostaje wyłożona językiem apokaliptycznym, albo też językiem apokaliptycznym mówi się o rzeczywistym oczekiwaniu na koniec świata.

M.A.: Właśnie! I o to pytam w związku z późnym Herbertem i chyba to pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

A.F.: No, jako pointa naszej rozmowy... bardzo apokaliptyczna. Może to zabrzmiało zanadto grobowo?

M.A.: Był cytat na początek, to ja mam cytat na zakończenie. Tadeusz Różewicz w wierszu *Labirynty*, zamieszczonym w tomie *Wyjście*, pisze tak:

czeka na koniec świata
na koniec historii
i na koniec końca

ale świat nie chce się
kończyć

A.F.: To dobre, tak, tym możemy zakończyć.

Książki Zbigniewa Herberta w Wydawnictwie a5



Zbigniew Herbert

Pan Cogito



Wydawnictwo a5

Zbigniew Herbert

89 wierszy



sketch by Zbigniew Herbert
artKosmos



Zbigniew Herbert
KRÓL MRÓWEK

Wydawnictwo a5



Joanna Zach

Norwid i Herbert: świadkowie kultur i cywilizacji

Na kilka miesięcy przed śmiercią, wiosną 1998 roku, Zbigniew Herbert przygotowywał swój wieczór autorski w Teatrze Narodowym. zaproponował, że jego własne wiersze będą czytane w drugiej części wieczoru, w pierwszej zaś pomieścił sześciu polskich poetów. Wśród dawnych Mistrzów, obok Kochanowskiego i Słowackiego, znalazł się także Norwid. Było to pożegnanie z poezją w okolicznościach, które uwydatniają każdy szczegół, nadając mu wymowę symboliczną:

wzywam was Starzy Mistrzowie –
w ciężkich chwilach zwątpienia

sprawcie niech spadnie ze mnie
wężowa łuska pychy

niechaj zostaną głuchy
na pokuszenie sławy

(Dawni Mistrzowie)

Ten gest pokory wobec poprzedników był jednocześnie wyrazem rozpoznania własnej wielkości, własnego miejsca wśród klasyków literatury. Kiedyś, pisząc o malarzach ze Sieny, o stosunku indywidualnego talentu do tradycji, Herbert przypomniał słowa Eliota, że „żaden artysta, w jakiegokolwiek dziedzinie sztuki nie ma sam w sobie pełnego znaczenia. Jego znaczenie, jego uznanie jest uznaniem w stosunku do zmarłych poetów i artystów”.

Słowo „klasyk” niesie sens nobilitujący, otwiera rozległą perspektywę historyczną, w której ukształtował się kanon literacki. „Klasyk” to w potocznym rozumieniu twórca wybitny, „wzorowy”. Miano przysługujące artystom dopiero pośmiertnie, kiedy ich wkład w dzieło zbiorowe wytrzyma próbę czasu. A jednak już w latach sześćdziesiątych, kiedy Herbert był autorem zaledwie trzech tomików wierszy, Jerzy Kwiatkowski napisał o nim: „Herbert jest «klasykiem»... Celem Herberta nie jest nowość. Jego celem jest doskonałość”. Każdy z łatwością rozpozna u Herberta umiłowanie antyku, jego zwrot ku historii i mitologii starożytnej, ku klasycznej literaturze i mądrości. Kwiatkowski mówi jednak o czymś innym. Zwraca uwagę na ideał sztuki („doskonałość”), który przyświecał dawnym mistrzom, a który jest już – w pewnym sensie – anachronizmem. Herbert jakby sprzeciwia się estetyce nowoczesnej, której rdzeniem jest oryginalność, „samorodność”. Równie – powiedzmy – „niemodne” było w dwudziestym wieku przekonanie, że słowo ma charakter służebny wobec rzeczywistości, że powołaniem poezji jest świadectwo, wierność wobec zapamiętanego szczegółu. Norwid mówił:

Ponad wszystkie twoje uroki,
Ty! Poezjo, i ty, Wymowo,
Jeden – wiecznie będzie wysoki:

Odpowiednie dać rzeczy słowo

I pomylił się, w tym przynajmniej sensie, że poezja wkrótce po nim – symbolizm, awangarda – obrała kierunek przeciwny, odwracając się od „brudu życia” i świata rzeczy. Herbert nigdy nie należał do rodziny poetów „wiecznie awangardowych” i ostentacyjnie nowoczesnych. Mówił po prostu: „słowo jest oknem otwartym na rzeczywistość”.

Jak to się stało, że to właśnie on stanął w rzędzie najwybitniejszych twórców dwudziestego wieku, że stworzył język doskonale odpowiadający

współczesnej wrażliwości? Jest to pytanie o to, w jaki sposób przeszłość spotyka się w jego dziele z terażniejszością, „klasycyzm” z „realizmem”, a tradycja z nowoczesnością. Myślę, że w odpowiedzi na to pytanie z pomocą przychodzi właśnie Norwid – z jego pokorą wobec źródeł, z jego rozumieniem człowieka w dziejach. To jest dziedzina, w której Herbert i Norwid spotykają się jako artyści i myśliciele, jako odkrywcy i jako świadkowie.

Tradycja nie jest czymś, co się po prostu dziedziczy. Świadome nawiązanie do niej wymaga zmysłu historycznego, dostrzegania nie tylko przeszłości przeszłej, ale i terażniejszej. Tak jakby cała literatura Europy, od Homera począwszy, istniała równocześnie i tworzyła równoczesny porządek wartości. Zmysł historyczny to, mówiąc po Norwidowsku, „sumiennosc w obliczu źródeł”, nie potocznie rozumiany tradycjonalizm – tj. trwożliwa adoracja i naśladowanie Mistrzów, ale właśnie – wypracowana w dialogu z przeszłością oryginalność.

Czas wzbogacony

Przeszłość – jest to dziś, tylko cokolwiek dalej;
 Za kołami to wieś,
 Nie jakieś tam coś, gdzieś,
 Gdzie nigdy ludzie nie bywali!...

Ten znany wiersz dotyka sprawy dla Norwida najważniejszej – sprawy ciągłości. Nie chodzi jedynie o to, że każda terażniejszość jest wynikiem przeszłych zdarzeń. To oczywiste. Ale tak, jak nosimy w sobie pamięć własnego życia, czując, że właśnie dzięki pamięci jesteśmy sobą, tak można odczuć życie przeszłych pokoleń, jako część nas samych. Czas nie rozpada się wtedy na to, co bezpowrotnie minione i chwilę obecną: przeszłość – powiada Norwid – to jakby przesunięta terażniejszość, można się tam wybrać, jak do sąsiedniej wsi. „Wieś”, jako synonim prowincji, pojawia się tutaj nieprzypadkowo. Norwid odkrywał przeszłość w jej wymiarze powszednim, jako potoczność właśnie, tkaninę codzienności. Uważał, że „prawdziwa energia duchowa nie musi się objawiać w widowiskowych działaniach”. Chciał odwrócić proporcje, mówić o bohaterach cichych, bezimiennych – jak Quidam. Przeszłość zamieniał w terażniejszość, kierując uwagę na to co płynne, nieokreślone, trudno uchwytnie. (Bo terażniejszość – tak jak ją

odczuwamy – jest właśnie płynna, podczas gdy przeszłość wydaje się już określona.) W praktyce polega to na spowolnieniu zdarzeń i poddaniu ich wielostronnemu oglądowi, tak że tworzą one zespół niedomkniętych możliwości. Widać to może najlepiej w poemacie *Quidam*, który też mówi najwięcej o postawie Norwida wobec całego splotu tradycji europejskiej. Żeby zobaczyć przechodniów w Rzymie z czasów Hadriana, Norwid niemal dotyka bruku, wsłuchując się w mowę kamieni. A oto obraz ścieżki przed domem Mistrza Jazona. Ścieżka ta:

Coraz się głębiej wrzyna w gaj sosnowy,
I coraz gęściej starym świeci brukiem
Z fragmentów różnych złożonym jak smętarz:
Ten, że był urną – owy może łukiem,
Ten sarkofagiem, biustem, ów, pamiętasz,
Że gdzieś w frontonie świątyni ma brata,
A wszystkie dobrze zrównane i w skazie
Każdej otkane mchem – z dala – jak krata
Zielono-złota leżącym na głazie.

(*Quidam*, III 125)

Kamienny gościniec ukazuje się jako cmentarz historii. Każdy fragment opowiada jeszcze o dawnej całości, może greckiej, może etruskiej. Szczątki kultur i cywilizacji rzucone – najdosłowniej – pod stopy imperium, poddane duchowi symetrii, regularnie skwadratowane jak rzymskie centurie. Już w samym tym obrazie nakładają się na siebie warstwy czasu, dialogują ze sobą style, porządki, epoki.

*

A zatem:

Czym innym jest przeszłość dla kronikarza, dziejopisa czy historyka – czym innym dla poety, który odgaduje jej sens przemilczany w annałach. Norwid jako pierwszy – i trzeba to mocno podkreślić – uczynił to rozróżnienie podstawą swojej twórczości.

Otóż właśnie Herbert podejmuje ten norwidowski temat c z a s u w z b o - g a c o n e g o. Podejmuje – „dialog z przeszłością, wsłuchiwanie się w głosy tych, co odeszli, dotykanie kamieni, na których pozostały na poły zatarte zapisy dawnych losów, wywoływanie cieni, aby karmiły się naszym współczuciem...

Gust przeszłości – powiada Herbert – może, ale nie musi, oznaczać ucieczki od teraźniejszości i rozczarowania. Bo jeśli w tę podróż w czasie wybieremy się z całym bagażem naszych doświadczeń, jeśli penetrujemy mity, symbole i legendy, po to, aby wydobyć z nich to co żywe, nie można chyba odmówić tym poczynaniom postawy czynnej” (*Opisać rzeczywistość*).

Podobnie jak Norwid, Herbert zderza ze sobą patos cierpienia i potoczność, z pietyzmem wydobywa szczegóły, prosty, niezwodniczy. Z pola bitwy ocala chwilę przedśmiertnej ciszy, gałązkę tamaryszku w nadmorskim piasku:

opowiadałem bitwy
baszty i okręty
bohaterów zarzynanych
i bohaterów zarzynających
a zapomniałem o tym jednym

opowiadałem burzę morską
walenie się murów
zboże płonące
i przewrócone pagórki
a zapomniałem o tamaryszku

kiedy leży
przebity włócznią
a usta jego rany domykają się
nie widzi
ani morza
ani miasta
ani przyjaciela
widzi
tuż przy twarzy
tamaryszek

wstępuje
na najwyższą
suchą gałązkę tamaryszku
i omijając
liście brunatne i zielone
stara się ulecieć w niebo
bez skrzydeł
bez krwi
bez myśli
bez –

(*Tamaryszek*)

Obydwaj poeci poszukują w dziejach ludzkich treści, człowieka wiecznego i zmieniającego się jednocześnie. „Do historii zwracam się nie po to – powie Herbert – żeby czerpać z niej łatwą lekcję nadziei, ale aby skonfrontować swoje doświadczenie z doświadczeniem innych, aby zdobyć coś, co nazwałbym uniwersalnym współczuciem, a także poczucie odpowiedzialności, poczucie odpowiedzialności za stan sumień.”

Historia i współczesność

Dopiero w perspektywie czasu wzbogaconego możemy zrozumieć postawę obydwu poetów wobec teraźniejszości. Przeszłość cywilizacji, przyjęta jako dziedzictwo, mówi nam o tym, kim jesteśmy. Ukazuje całe bogactwo ukrytych możliwości, które tkwią w człowieku. Z drugiej strony, przeszłość nas osądza: określa sferę powinności, obnaża nasze braki, przypomina o osiągnięciach najwyższej miary.

Człowiek myślący, nieustannie doświadcza kruchości i znikomości własnego istnienia i stąd potrzeba oparcia się o wysiłek zbiorowy, włączenia w dzieło pokoleń. Dla Herberta, takim symbolem zbiorowego trudu są katedry gotyckie – ogromne przedsięwzięcia, wznoszone nieraz przez kilka pokoleń artystów, kamieniarzy i robotników. Jak to możliwe, że w warunkach improwizacji ludzie ci stworzyli tak potężne i jednolite budowle, urągające prawu ciężenia? „Katedry gotyckie – odpowiada poeta – wymagały czegoś w rodzaju organicznych związków wszystkich zajętych przy budowie.”

Kamień ma swoją wagę i stawia człowiekowi wymagania bezwzględne. W istocie jednak kultura, jak każda gałąź społecznych działań, jest dziedziną ukrytych prawidłowości i związków koniecznych. W świecie ducha również panują bezwzględne prawa, chociaż – z drugiej strony – jest to sfera ludzkiej wolności. Oznacza to tylko tyle, że prawa te człowiek może zignorować, zawsze jednak ze szkodą dla siebie. Tak przynajmniej rozumował Norwid, ubolewając nad rozkładem organicznych więzi w jego epoce: „Błogosławiony to czas – pisał w liście do Jana Koźmiana – kiedy c z ł o w i e k stać się c e g i e ł k ą może – to jest, kiedy plan i ogół jest. Inaczej – do czegoż dołożyć tę cegielkę? Zawsze to będzie kupa cegieł”. Przyznam się, że dla mnie są to słowa wstrząsające. Po pierwsze dlatego że zawsze aktualne, bo ukazują rzeczywiste – i z reguły nieuniknione – marnotrawstwo sił

i talentów. Wstrząsające również dlatego, że tak łatwo można je poddać manipulacji, wypaczyć ich sens, wprzęgając w służbę na przykład jakiejś totalitarnej ideologii. A przecież chodzi tutaj o sens indywidualnego powołania człowieka, w szczególności zaś powołania poety, który – posługując się językiem, a więc narzędziem powszechnego użytku – jest zależny od wspólnoty – od swoich poprzedników i czytelników. Każdy twórca wznosi się na prawdziwe wyżyny nie tyle na skrzydłach natchnienia, co po stopniach wyznaczonych przez dorobek przeszłości.

Wypowiadając ogólną prawdę, Norwid mówi jednocześnie o „czasie marnym”, o nędzy historycznego położenia, w jakim znalazło się jego własne pokolenie. Jest to nie tylko nędza wygnania, smutne dziedzictwo rozbiorów i nieudanych powstań, ale również dotkliwość nowoczesnej cywilizacji – cywilizacji postępu i pieniądza:

Mówią, że Postęp nas bogaci co wiek;
Bardzo mi to jest miło i przyjemnie:
Niestety! co dnia mniej cieszę się ze mnie,
Śmiertelny człowiek!

– mówi poeta.

(*Sieroctwo*)

Mania odkrywania wszystkiego na nowo, jakiejś fałszywej oryginalności, która w imię nieograniczonej swobody pogardza przeszłością, w istocie jednak poddaje człowieka władzy mody i stylu – to jedna strona tej cywilizacji. Druga to jakby wyparcie się tego wszystkiego, co przypomina o samotności i o cierpieniu. To mania zakrywania dotkliwych stron życia – jak mówi Norwid – „świątą liberią”:

Zakrywająca?... ciesz się znów inaczej:
Pokaż jej łez zdroj?... ona odpowiada:
„Nie trzeba zważać na to ... co? to znaczy!...
Może – deszcz pada.”

Ktoś powie, że utyskiwania Norwida na świat współczesny brzmią dziś nadto sentymentalnie. Być może. Trzeba jednak pamiętać, że Norwid nie był ani wrogiem nauki, ani wrogiem modernizacji rozumianej jako podnoszenie materialnego poziomu egzystencji. Był natomiast wrogiem zawłaszczenia

wartości – czy to materialnych czy duchowych – przez ludzi ignorujących hierarchię potrzeb człowieka.

Norwid był miłośnikiem greckiej *paidei*, a *paideia* oznacza taki model kultury, w którym wszystkie elementy jednoczą się we wspólnym dążeniu do pełni człowieczeństwa. Jego własny projekt cywilizacji chrześcijańskiej przyjmował ten model jako punkt wyjścia i trwały element śródziemnomorskiego dziedzictwa. Ten ideał staje się także miarą współczesnego wydziedziczenia. Motyw kryzysu kultury odnajdziemy w wielu utworach Norwida. Jakże gorzko zwraca się poeta do swoich współczesnych w wierszu *Wielkie słowa*:

Czy zapytaliście czemu C i c e r o?
P a w e l? lub S o k r a t? tych słów rzekłszy parę,
Żyją... do dzisiaj cię za piersi biera,
A ty, choćbyś im nierad, dawasz wiarę.

Księgi zaś twoje, mimo złote wargi
Kart z pergaminu, i twoje dzienniczki
Z elektrycznymi okrzyki lub skargi
Gasną – jak ckiwie o południu świeczki?

*

Zarówno Norwid jak i Herbert mieli poczucie, że żyją w czasach kryzysu, szczególnego zagrożenia dorobku śródziemnomorskiej cywilizacji ze strony politycznych systemów, społecznych ideologii i wreszcie – zwykłego konformizmu, który oznacza zgodę na życie spłycone, odmowę pamięci i zamknięcie się w kręgu dóbr pozornych. Sytuacja Herberta była oczywiście inna niż sytuacja autora *Vade-mecum*: był młodszy od Norwida o sto lat (dokładnie: 103), ale też – w jakimś sensie – od niego starszy. Starszy o doświadczenie nazizmu i komunizmu, ideologii, które zakwestionowały samo pojęcie kultury jako sfery odziedziczonych wartości. (Złożmy na karb ironii dziejów, że wspominając Rzym, nie jako skarbiec kultury, ale jako symbol imperialnej dominacji, obydwaj czynili aluzje do sąsiada ze Wschodu: jeden do imperium carskiego, drugi – do Kraju Rad.) Norwid żył już w czasach, kiedy o podziałach wewnątrz Europy decydowały wielkie mocarstwa, ale Herbert doświadczył zbiorowych nieszczęść, które znaczną część jej obywateli pozbawiły prawa do udziału we wspólnym dziedzictwie. Tytuł jego zbioru esejów, *Barbarzyńca w ogrodzie*, jest podwójnie

bezciesną zjawą, wyłącznym przywilejem estetów. Przeciwnie: zmysł piękna zawiera „włókna duszy i chrząstki sumienia”. Dzięki grze homonimami (smak jako zmysł i jako estetyczne rozeznanie), piękno ukazuje się tutaj jako klucz do rozpoznania wartości w sytuacjach aż nadto konkretnych i rzeczywistych (mowa przecież o stalinowskich prześladowaniach). Zarazem przypomina o klasycznej jedności *pulchrum et bonum*. „W końcu brzydota to jest zło w dziedzinie piękna, zło to jest brzydota moralna. W języku potocznym te dwa słowa: «brzydkie» i «złe» używane są zamiennie.” To nie przypadek, że mówimy: „zła sztuka”. Z umiłowania piękna bierze się zatem wstręt do podłości, która, jak samo słowo wskazuje, oznacza upadek. Bo, jak mówi inny współczesny poeta:

...dobro jest jasność, zło, ciemność, dobro jest wysokość, zło niskość
Wedle przyrody ciał naszych, naszego języka
(...)
...dobro jest słabe, ale piękno silne.
Niebyt szerzy się i spopiela obszary bytu
Strojąc się w barwy i kształty, które udają istnienie.
I nikt by go nie rozpoznał, gdyby nie jego brzydota.

Wróćmy jednak do Zbigniewa Herberta. *Potęga smaku* to w gruncie rzeczy wiersz o dzielności i odwadze, ale takiej, która wstydy się imienia cnoty, nie zabiega o żadne względy i sama sobie wystarcza. Ukrywa się za prostym gestem odmowy:

Nasze oczy i uszy odmówiły posłuchu
książęta naszych zmysłów wybrały dumne wygnanie.

Ten wiersz, napisany w 1980 roku znalazł się w tomie *Raport z obłąkanego Miasta* (1984), który jest – w znacznej mierze – świadectwem przeżyć poety z okresu stanu wojennego.

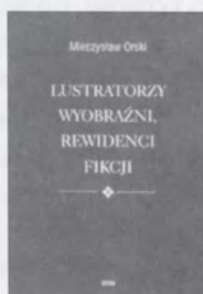
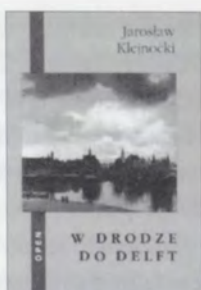
Zdawać by się mogło, że umiłowanie klasycznego ładu, gust do sztuki i filozofii greckiej, skłaniają do ucieczki od rzeczywistości. Przykład Herberta dowodzi czegoś przeciwnego: „klasycyzm” stał się dla niego szkołą – „życia w zgodzie z naturą, to znaczy z rozumem, pośród szalejącego świata i wrzasków nienawiści”. Można powiedzieć, że w twórczości tego poety mądrość klasyczna zdaje egzamin przed trybunałem historii. Ostaje się z niej jedynie to, co ocala człowieka przed hańbą i poniżeniem w warunkach próby. Nie jest ona bezpiecznym azylem, a jedynie sposobem zmagania się z życiem, którego esencją jest cierpienie. „Mój profesor filozofii – wspomina poeta – ucząc mądrości greckiej wpajał nam entuzjazm dla stoików. W czasach, kiedy to

się działo *amor fati* ratował od szaleństwa." Tutaj natrafiamy na źródła takich wierszy jak *Do Marka Aurelego czy Dlaczego klasycy*. Te wiersze ukazują na różne sposoby dystans, jaki dzieli współczesnego człowieka od klasycznej harmonii. Nie są one bynajmniej apologią „złotego wieku”, ukazują raczej różne postawy wobec zła, wobec maszyny historii i nie-ludzkiego porządku świata.

Do Marka Aurelego to jeden z najwcześniejszych wierszy Herberta. Zadekowany jest właśnie profesorowi filozofii, Henrykowi Elzenbergowi, autorowi rozprawy o Marku Aureliusz, ale także rozważań na temat obecności zła w historii: „dzieje ludzkie – pisał Elzenberg – w swej głównej masie, są przeładowane złem (...) trudno się w nich dopatrzeć jakiegoś sensu, który by je jako całość usprawiedliwiał”. Uczeń profesora nie żywi żadnych złudzeń. Byłby cynikiem – uwaga! starożytni cynicy nie głosili „cynizmu” – gdyby nie chroniła go ironia. Jego Marek Aureliusz zasypia pod niebem zwiastującym zagładę. Historyczny Rzym upadnie pod naporem barbarzyństwa, symboliczny Rzym jako wyspa kultury (lampa, książka, łacina) jest zawsze zagrożony przez siły ciemności i chaosu. Co więcej, „kosmos” najwyraźniej jest po stronie barbarzyńców, wypełnia go odwieczny okrzyk trwogi, *larum gwiazd*. Śmiało można powiedzieć, że ten wiersz nawiązuje do przedwojennego (Miłosz) i wojennego (Baczyński, Gajcy) katastrofizmu i zgodnie z poetyką tego nurtu opiera się na kontraście pomiędzy klasycystyczną budową (jasność, ład) i apokaliptyczną wizją (ciemność, chaos). Już w samej poetyce zawiera się więc – jeśli tak można powiedzieć – motyw starcia przeciwstawnych żywiołów, a wybór klasycznej strofy, rytmicznej równowagi – określa poniekąd postawę poety, jego opowiedzenie się po stronie kruchego ludzkiego ładu. I gest podania ręki pod okrutnym niebem jest wszystkim, co można ocalić z niszczącego żywiołu czasu. To jest „niepewna jasność” Pana Cogito – wiara w możliwość przekazywania elementarnych prawd ponad ciemnością dziejów, spotkanie z bliźnim, współczucie.

Joanna Zach

BIBLIOTEKA KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO



- Grzegorz Musiał, *Al Fine*, Gdańsk 1997
 Mirosław Dzieliński, *Cierpliwość*, Warszawa 1998
 Michał Głowiński, *Czarne sezony*, Warszawa 1998
 Jarosław Klejnocki, *W drodze do Delft*, Warszawa 1998
 Piotr Matywiecki, *Zwyczajna symboliczna prawdziwa*, Warszawa 1998
 Krzysztof Myszkowski, *Funebre*, Warszawa 1998
 Bożena Keff, *Nie jest gotowy*, Warszawa 2000
 Maria Danilewicz Zielińska, *Biurko Konopnickiej*, Warszawa 2000
 Janina Kościalkowska, *Bih me!*, Warszawa 2000
 Grzegorz Musiał, *Dziennik z Iowa*, Warszawa 2000
 Grzegorz Musiał, *Kraj wzbronionej miłości*, Warszawa 2001
 Jerzy Andrzejewski, *Dziennik paryski*, Warszawa 2003
 Mieczysław Orski, *Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji*, Warszawa 2003
 Tadeusz Nowakowski, *Obóz Wszystkich Świętych*, Warszawa 2003
 Kazimierz Hoffman, *Znaki*, Bydgoszcz 2008 – w zapowiedzi

BSE ACHMATOWA ADAMIEC ADCOCK AJVAZ AHREND AMICHAJ ANDERMAN ANDRZEJEWSKI
ANTONIUK APENSTRÖM APPEL ARP ASMUS ATWOOD AUSLANDER AUSTER AWIDAN BACON
ACZAK BADZIAG BAGEŃSKI BALANTIC BALCERZAN BALIŃSKI BANACH BANVILLE
BARAN BARANOWSKA BARTCZAK BATHELIER BECKETT BEDNARCZYK BEER BELMONT
BENKA BENN BERLIN BERNHARD BERNOLD BESANCON BESZCZYŃSKA BEYER
BIAŁOSZEWSKI BIELSKA-KRAWCZYK BIENKOWSKI BLIN BLOOM BŁASIAK
BŁOŃSKI BOBKOWSKI BOCHENSKI BOCZKOWSKI BOLECKA BOLECKI BOLEWSKI
BORGES BORKOWSKA BOROWIEC BORUŃ BRAKONIECKI BRAUN BRAUTIGAN
BRAY BRKA BRODA BRODSKI BRONIEWSKI BRZOSKA BUKOWSKI BUNIN
BURYŁA BÜTTNER CALDER CELAN CELINE CENDRARS CHALFI CHETWYND
CHEVILLARD CHLEBNIKOW CHOJNOWSKI CHOLIN CHWIN CIELECKI CIELESZ
CIESIELSKA CISŁO CLAUDEL CLUCHEY CONNOR CRONIN CUMMINGSS
CYRANOWICZ CZAYKOWSKI CZĘSTOCHOWSKI CZUCHNOWSKI CZUKU
CWIKLIŃSKI DANILEWICZ-ZIELIŃSKA DANN DĄBROWSKA DĄBROWSKI
DEHNEL DELEUZE DERDOWSKI DEVILLE DICKINSON DŁUSKI DOBIES
DOMARUS DOOLITTLE DORN DRAWERT DRIVER DUBOWIK DUNIN DUPIN
DURAKOWIĆ DURAS DYAKOWSKI DZIEN ECHENOZ T.S.ELIOT ENDRES
ENGELKING ENRIGHT ENZENSBERGER ESSLIN FALARSKI FERENC
FERRINI FIETT FILIPIAK FIUT FLETCHER FRAJLICH FRANASZEK
FRANIA FRIEDELÓWNA FUCHS GAILLY GARDZIELWSKA GARLICKA
GENET GIACOMETTI GIDLECKA GIEDROYC GILBOA GINSBERG GIZELLA
GŁOWIŃSKI GOERKE GOMORI GRABOWSKI GROSSMAN GRUCHAŁA
GRUNBEIN GRUSE GRYKO GRYNBERG GRZEBALSKI GURI GUTOROW
GUTOWSKI HALAS HAMKAŁO HANDKE HARTWIG HAVEL HASSEK
HEDLUND HELLIKES HERBERT HERLING-GRUDZIŃSKI HERTZ HETMAN
HIEBEL HODROVÁ HOFFMAN HÖLDERLIN HOLUB HONET HRYNACZ
HUNKELER HUNTER IONESCO IWANIUK JACCOTTET JAKUBOWSKA-
FIJAŁKOWSKA JAN PAWEŁ II JANKOWSKI JANKO JARNIEWICZ
JARZĘBSKI JASEK JASPERS JASTRUN JASTRZEBIEC MOSAKOWSKI JEDLIŃSKI JÉLOUN JENTYS
JONATAN JOYCE JUARROZ JULIET JUREWICZ JURKOWSKA JURZYSTA KAJAK KAKAREKO
KALANDYK KALB KALISZER-HAZAZ KALINOWSKI KALOTA-SZYMAŃSKA KANTOR KAPUŚCIŃSKI
KARASEK KAROLAK KASTEL-BLUM KEDZIERSKI KIBIROW KIEJAR KIEPUŠZEWSKI KIERC KIJÓWSKI
KITSCH KLEJNOCKI KOBERSKI KOHLER KOLBE KOLTES KOŁACKA KONWICKI KORNHAUSER
KORZENIOWSKI KOSIŃSKA KOŚCIAŁKOWSKA KOTANSKI KOTLARCZYK KOZIÓŁ KOZMIŃSKI KRAL
KRAŚIŃSKI KRAUSS KREMER KRYŃICKI KRYSZAK KRZYŻAN KUBIAK KUĆCIAK KURĄS KUREK KURYLAK
KURYLUK KUŚ KUZMIŃSKI LALIĆ LASECKI LASKER-SCHULER LATAWIEC LEFCOWITZ LEKSZYCKI
LEM LEMPP LENOIR LESZKOWICZ LEWANDOWSKI LEVERTOV LEVINE LIBERA LIGEZA LINDON
LIPKA LIPSKI LIRA-SŁIWA LISOWSKI LORD LOVELL LUBIŃSKA LUDWIKOWSKA ŁUKASIEWICZ
ŁUKASZEWICZ MACCAIG MACIERZYŃSKI MAJ MAJERSKI MALISZEWSKI MARCZEWSKI MAREN
MARJAŃSKA MASTANIS MASON MATUŠZEWSKI MATYWIECKI MAUVIGNIER MCCAIG McMULLAN
MELECKI MENASSE MESCHONNIC MICHAŁOWSKI MIELHORSKI MIESZKO MIĘDZYRZECKI
MIKOŁAJCZAK MIKOŁAJEWSKI MIŁOŚLAWSKI MIŁOŚZ MISAŁEK MITZNER MOCARSKA-TYCOWA
MOCZKÓDAN MORAWIEC MOŚCICKI MUSTAŁ MUSZYŃSKI MÜLLER-FREIENSELS MYŚZKOWSKI
NASTIŁOWSKA NDIAYE NIEMIEC NIXON NOWACKI NOWICKI NOWOSIELSKI OLEK OŁEDZKA-
FRYBESOWA ONDAATJE ORDAN ORŁOŚ ORSKI OSTER OSTI OSZAJGA OZKOK PACHOLSKI
PANCZENKO PANKOWSKI PAWŁOWSKA PAZNIIEWSKI PÉLOVSON PIASZCZYŃSKI PIECHOCKA
PIECHOWICZ PIECZYŃSKI PIETRYK PILCH PINGET PINTER PINTILIE PIRIE PIWKOWSKA
PIECUCH PLATH POLLAC POLLAKÓWNA POMORSKI POTOKAR POUND POUTNEY PRUSS PRZYBYŁAK
PRZYBYŚLAWSKI PUCIATA QUADFLIEG RABINOWICZ RAIKOVIC REUBNER REXROTH RIEGEL ROBBE-
GRILLET ROBERTS RODOWSKA ROGUSKI ROMANOW ROSENTHAL ROSSET ROTH ROTHMANN
ROUAUD RÓZEWICZ RÓZYCKI RUBINSTEIN RUTKOWSKI J.M.RYMKIEWICZ RZEDZIAN SACHS
SADECKI SALAMUN SALMONOWICZ SAŁSKA SARAJLIĆ SARRAUTE SARTRE SCHEIDEGGER
SCHWALBE SEIFERT SEJFAS SEXTON SIEGEL SIEMASZKO SIMIĆ SIMON SINGER SIWCZYK
SIWIEC SHLIEN SKRENDO SKWARNICKI SŁAWIŃSKA SŁAWIŃSKA SŁAWNIKOWSKI ŚMALCERZ SOBKOVIK
SOBOLCZYK SOCHÓŃ SOKOŁOWSKI SOLIŃSKI SOMMER SONNENBERG STACHURA STANŁKO
STANKOWSKA STARCZAK-KOZŁOWSKA STASIUK STAŚKIEWICZ STEFKO STERN STREERUWITZ
STRUMILLO-MIŁOŚZ STRUMYK STYCZEN SUSLIN SVIBIEN SYLVESTER SYNDER SYNORADZKA
SZARMACH SZARUGA J.J.SZCZEPAŃSKI SZEWC SZKŁOWSKI SZŁOSAREK SZUBA SZUBER
SZWALBE SZYMAŃSKA SZYMBORSKA ŚMIEJA TABORSKI TAŃSKI TISCHNER TKACZYSZYN-
DYCKI TOMASIK TOUSSAINT TRAK TRĘŚNIAK TRIECHEL TRZECIAKOWSKI TWARDOWSKI
TYRANKIEWICZ URBAŃSKA VARGA VIEL VODUSEK WAJDA WALC WALSER WANIEK WARTA
WARRILOW WEBER WELTER WENCEL WENDORFF WHITELAW WIECZOREK WILDE WILLIAMS
WINIARSKI WINNICKA WIRPSZA WIŚNIEWSKI WITKOWSKI WOJCIECHOWSKA WOJCIECHOWSKI
WOLSKI WOŁOŠYŃ WOROŠYLSKI WOJCIK WRÓBLEWSKI WYKA ZACH ZADURA ZAJC
ZAJDA ZAMIARA ZARĘBIANKA ZAWISTOWSKI ZEGARLIŃSKI ZETTINGER ZAKIEWICZ ZYŁKO

75 lat

